

● WGLĄD W RZĄD ● CO SIĘ STAŁO Z CENAMI? ● WRZESIEŃ NA LUBELSZCZYŹNIE ● ŁZY MATKI ● GORĄCE WILNO ● KOMU POMNIKI? ● Z BIEGIEM BUGU ● OBRAZKI Z AMERYKI

TYGODNIK
WSCHODNI

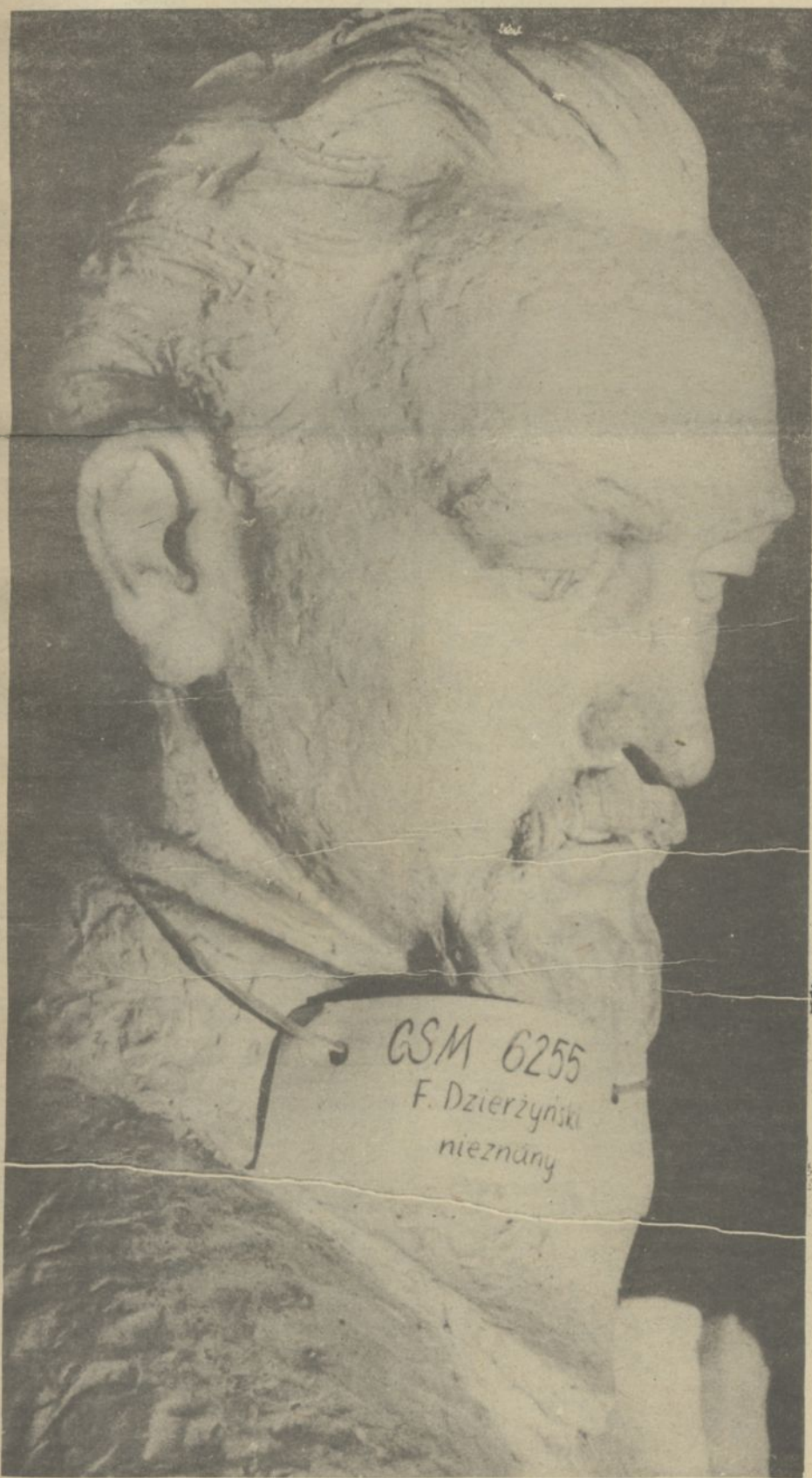
PL ISSN 0600-8830

relacje

LUBLIN, 14-20 IX 1989 R.

NR 35

CENA 120 ZŁ



Fot. Waldemar Stępień

Jesień 1939

ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYŹNIE

Zbigniew R. Muszyński

„17 WRZESNIA o godzinie 4 minut 40 wojska radzieckie na szerokim froncie przekroczyły granicę i rozpoczęły swój marsz wyzwolenczy. Ludność białoruskich i ukraińskich miast i miasteczek witała z entuzjazmem swych wybawców. [...] Wszędzie tworzyły się komitety chłopskie oraz tymczasowe samorządy gminne i powiatowe; samorządy te przy pomocy dowództwa Armii Czerwonej przywracały porządek społeczny, zdeorganizowany rozkładem administracji polskiej i rozpadem państwa polskiego, i przychodzili z pomocą żywnościową ludności. Tymczasowe urzędy, będące organami nowej władzy ludowej, stanęły wkrótce na czele całego życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego w wyzwolonych regionach. [...] Miasta i wsie zachodnich ziem ukraińskich i białoruskich zostały uratowane od groźby okupacji niemieckiej”.

Tak przedstawiono wydarzenia drugiej połowy września i pierwszych dni października 1939 r. — wydarzenia, które dotknęły także Lubelszczyznę — w monumentalnej radzieckiej „Historii Wielkiej Wojny Narodowej ZSRR 1941—1945”, z pieczołowitością wydanej również w Polsce przez Wydawnictwo MON. Nie wyjaśniono tam (podobnie jak i w większości innych prac dotyczących tego okresu, dotychczas opublikowanych przez krajowe wydawnictwa) podstaw takiego działania ZSRR, to jest sojuszu i przyjaźni Stalina z Hitlerem, nie wspomniano o ferownych i zaciętych walkach toczonych przez Armię Czerwoną na terenach Polski, nie powiedziano o zajęciu przez ZSRR znacznych części województw lubelskiego i warszawskiego oraz o wycofaniu się Armii Czerwonej z tych terenów w wyniku drugiego paktu z Hitlerem.

KOLEJNY ROZBIÓR POLSKI

Zgodnie z tajnym załącznikiem (w którego istnienie już dziś chyba nikt nie wątpi) do zawartego 23 sierpnia 1939 r. układu Hitlera ze Stalinem „o

nieagresji” (zwanego najczęściej paktem Ribbentrop — Molotow) — Lubelszczyzna miała znaleźć się w obszarze okupacji sowieckiej. Wspomniany tajny załącznik tak określał przebieg poróżbiorowej granicy: „[...] Na obszarach należących do państwa polskiego podział stref interesów między Niemcami a ZSRR przebiegać będzie mniej więcej wzdłuż linii rzek Narew, Wisła i San”.

Ani w układzie, ani w tajnym załączniku do niego nie określono w sposób jednoznaczny sposobu osiągnięcia nowych granic i zasad współdziałania obydwu najeźdźców na styku militarnym, po dokonaniu przez Hitlera najazdu na Polskę. Zagadnienia te, chociaż nie zostały ujęte w dokumentach, były niewątpliwie przedmiotem rozmów obu stron w okresie przygotowywania i zawierania sierpniowego układu; Sądzić tak można m.in. na podstawie ocalonych przez Karla von Löscha, urzędnika hitlerowskiego Auswärtiges Amt (urząd spraw zagranicznych) — mikrofilmów korespondencji dyplomatycznej, prowadzonej w pierwszej połowie września 1939 r. między Berlinem i Moskwą. W listach i depe szach z tego okresu dyplomacja hitlerowska zabiegała o skłonienie Moskwy do realizacji ustaleń przyjętych w sierpniu 1939 r., czyli do przyspieszenia napaści na Polskę od strony wschodniej.

W wyniku drugiego układu, tym razem „o granicy i przyjaźni”, zawartego w Moskwie 28 września 1939 r., wyłączone zostały z obszaru okupacji sowieckiej Lubelszczyzna i część wschodnia województwa warszawskiego, które Stalin odstąpił Niemcom w zamian za Litwę. Postanowienia w tej sprawie i nowa granica między zaborcami określone zostały w układzie następująco: „[...] Teren państwa litewskiego objęty zostaje strefą interesów ZSRR, ponieważ z drugiej strony województwo Lublin i część województwa warszawskiego zostają objęte strefą interesów Niemiec (porównaj mapę załączoną do podpisanego dzisiaj układu o granicy i przyjaźni)”.

Dokończenie na str. 12

KTO GO KUPI?...

STR. 10-11

relacje

ZE ŚWIATA

● Amerykański tygodnik „Time” (nr 36 z 4 września 1989), przy okazji komentowania wydarzeń zachodzących obecnie w Europie Wschodniej, zamieścił ciekawy komentarz redakcyjny na temat amerykańskiej pomocy Polsce, zatytułowany „Polska: brak wyobraźni?”. Oskarża on w nim administrację prezydenta Busha o brak politycznego myślenia, manifestowany niedostatecznym wsparciem polskich reform. Pismo zauważa, że USA zaofiarowały Polsce pomoc w wysokości 119 milionów dolarów, podczas gdy tegoroczna pomoc dla Izraela wynosi 3 miliardy, a dla Egiptu 2 miliardy 400 milionów dolarów. „Time” pisze, iż oferta dla Polski równa jest jednej czwartej ceny bombowca Stealth.

Pismo oskarża Busha o sprzeniewierzenie się pryncypiom w zakresie polityki wschodniej, reprezentowanym przez wszystkich powojennych prezydentów amerykańskich od Trumana do Reagana. „Time” pisze: „Sukces premiera Tadeusza Mazowieckiego może zależeć od jego zdolności w szybkim uporządkowaniu gospodarki. Czy USA mogą sobie naprawdę pozwolić, by mu się nie udało z braku wsparcia?” „To uzwiń — stwierdza dalej tygodnik — że George Bush wydaje się być równie zadowolony z komunistycznego status quo, co i z polskiego historycznego przełomu na drodze do demokracji”.

● Amerykańska agencja Associated Press pisze, że w czwartek, tuż po ogłoszeniu propozycji składu nowego rządu w Polsce, słychać było narzekania w związku z niektórymi nominacjami. Członkowie niezależnej „Solidarności” Rolników Indywidualnych są niezadowolony z dużego udziału w rządzie przyznanego partii chłopskiej (ZSL), która razem z SD wycofała się z wieloletniego sojuszu z komunistami, aby zapewnić „Solidarności” większość w parlamencie.

● Amerykański senator Paul Simon przedłożył na forum Kongresu USA projekt ustawy o pomocy dla Polski. Przewiduje on m.in. zawieszenie obsługi zadłużenia polskiego zaciągniętego w USA oraz dostarczenie Polsce 900 mln. dolarów pomocy finansowej na rozwój sektora prywatnego.

● Zachodni dziennik „La Suisse” opublikował wywiad z Lechem Wałęsą. Oto fragment:

— A propos władzy, co myśli pan o generale Jaruzelskim? Czy gra do końca w demokrację?

— Niektórzy mówią, że ze swoimi sekretarzami stanu generał jest w trakcie tworzenia kontrwładzy, a więc nie gra czysto. Ja myślę, że można pozwolić mu na prowadzenie gry na jego dworze, podczas kiedy my będziemy kontynuowali naszą grę. Wzmoczymy nasze wysiłki w odbudowie gospodarki. Polska będzie więc przypominać Włochy, gdzie świat gospodarczy nie wie już, kto jest u władzy”.

● Nie słabną ataki prasy światowej na prymasa Polski, księdza kardynała J. Glempa. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, Elie Wiesel, w czołowym dzienniku amerykańskim „New York Times” oskarżył prymasa o „zachęcanie do antysemityzmu i gwałtu”.

● Premier Izraela, Itzhak Szamir oświadczył w dzienniku „The Jerusalem Post”, że Polacy są antysemitami, a ich antysemityzm „jest wyssany z mlekiem matki, głęboko zakorzeniony w ich tradycji i mentalności”.

● Trzy czwarte Żydów zamieszkujących na świecie (w tym Izrael) swe korzenie wywodzi z „antysemickiej” Polski.

● W trakcie zakończono niedawno w Belgradzie szczytu państw niezależnych przywódcą Libii, Muammar Kaddafi zaproponował, aby żydowską ludność Izraela przenieść na Alaskę lub do Alzacji, tudzież do republik nadbałtyckich ZSRR.

● W dzienniku „Il Messaggero” ukazał się artykuł przewodniczącego włoskiego Senatu, G. Spadolini, pt. „Oświęcim, Warszawa i Jałta oraz przyszłość Gorbaczowa”. Czytamy m. in.: „Należy jasno powiedzieć, że poddawanie pod dyskusję ustaleń z Jałty oznaczałoby naruszenie równowagi

światowej [...] Gorbaczow może tolerować próby rewizjonizmu demokratycznego, ale nie może pozwolić na zerwanie czy choćby pęknięcie zasady federacji republik ZSRR [...] Nie byłoby to już poddawanie pod dyskusję istoty komunizmu, lecz stanowiloby kwestionowanie istnienia państwa radzieckiego”.

● Specjalna komisja Rady Najwyższej Litwy opublikowała dokument stwierdzający, że wkroczenie Armii Czerwonej na Litwę w 1940 roku stanowiło „akt agresji” a przeprowadzone następnie wybory do Sejmu „nie były wolne i demokratyczne”. Dlatego też podjęta przez Sejm decyzja o wstąpieniu Litwy w skład ZSRR z 21 lipca 1940 roku oraz ustawa Rady Najwyższej ZSRR o przyjęciu Litwy w skład ZSRR z 3 sierpnia 1940 roku „nie mają mocy prawnej”.

● W najbliższych tygodniach władze rumuńskie przystąpią do likwidacji polskich wsi na Bukowinie. W myśl wcześniejszego projektu, kościoły mają być zamienione w domy kultury.

● Rząd węgierski wyasygnował 50 mln. forintów na działalność nowych partii i organizacji politycznych. Największe z nich oświadczyły, że skorzystają z tych pieniędzy wówczas, gdy o przyznaną sumę zmniejszy się dotacja dla WSPR.

● Agencja MTI poinformowała, że członek czeremosobowego Prezydium WSPR, minister stanu w rządzie węgierskim, Imre Pozsgay, przepadł w wyborach delegatów na zjazd WSPR. Nie znalazł się na liście 27 (z 34) osób, które uzyskały podczas wyborów prawo reprezentowania organizacji partyjnej Debreczyna.

● Przywódca litewskich komunistów Algirdas Brazauskas, w wywiadzie dla agencji Reutersa stwierdził, że partia litewska rozważa możliwość formalnego oddzielenia się od radzieckiej partii komunistycznej, co prawie na pewno ustawi republikę „na kursie kolizyjnym z Moskwą”.

● ZSRR odrzucił propozycję jednego z fińskich posłów „odkupienia od Związku Radzieckiego części Karelii” — poinformował rzecznik MSZ ZSRR, J. Gremickich, dodając, że „Związek Radziecki nie sprzedaje swoich ziem”.

pięającą K. Olesiaka na stanowisko wicepremiera i ministra rolnictwa, leśnictwa i gospodarki żywnościowej. [premier zaproponował na to stanowisko Czesława Janickiego, również z ZSL — przyp. red.] Nasz klub będzie twardo stał przy tym stanowisku, wychodząc z założenia, że jeżeli Stronictwo ma być w koalicji i otrzymuje pewne resorty, to Stronictwo jest obciążone. ZSL nie miesza się do kandydatów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

● Przy jednym głosie wstrzymującym się sejmowa Komisja Sprawiedliwości pozytywnie zaopiniowała kandydaturę A. Bentkowskiego na ministra sprawiedliwości. Osoba, która wstrzymała się od oddania głosu na kandydata ZSL, była posłanka z Lublina — Izabella Sierakowska, która później powiedziała „Trybunie Ludu” m.in.: „Nie przyniosło to spotkanie, moim zdaniem, klarownej wizji przyszłości. Ja się nawet czuję trochę zaplątana”.

● Na pytanie członków OKP, gdzie podejmowane są decyzje, Lech Wałęsa odpowiedział: „Podejmijcie decyzję, a zobaczycie, gdzie są podejmowane”.

● Grupa posłów z Klubu Parlamentarnego PZPR (około 20 osób) podjęła nieudaną próbę wystąpienia ze swego klubu — z jednoczesnym zachowaniem przynależności partyjnej i — stworzenia niezależnego koła poselskiego. Do zaniechania tych poczynań nakłaniali również niektórzy posłowie z OKP.

● „Spadek produkcji we wszystkich obszarach gospodarki uspołecznionej,

praktycznie nie istniejące budownictwo, ogromny deficyt budżetowy, przeszło stu procentowa inflacja, kompletnie zniszczony rynek — to spuścizna, jaką w świetle danych GUS pozostawił rząd Mieczysława Rakowskiego” — Jerzy Sławomir Mac, „Prawo i Życie”, 09.09. 89 r.

● „Polska Zjednoczona Partia Robotnicza dokonała śmiałego skoku ku przyszłości i podała w kierunku swego renesansu” — M. Rakowski w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

● „Gazeta Bankowa” podała, że w czerwcu KC PZPR skierował wniosek do prezesa NBP o udzielenie kredytu w wysokości 25 mld zł. (przyznano 17), oprocentowanego na 3 proc., w sytuacji, kiedy minimum oprocentowania w tym okresie wynosiło 55 proc. Owcześnie minister finansów złożył deklarację NBP, że zapłaci różnicę (55 proc. — 3 proc.) z budżetu państwa, którego deficyt wyniósł w czerwcu 3,8 biliona zł.

● Sekretarz KC PZPR, Leszek Miller, w liście skierowanym do kierownictwa włoskiej gazety „La Repubblica” zaprzeczył, jakoby w wywiadzie udzielonym tej gazecie miał powiedzieć, że „socjaldemokracja jest wyrazem wielkich treści i wartości, które podzielam, ale jest pewna różnica: socjaldemokracja w Skandynawii, podobnie jak w RFN, nie chciała kapitalizmu, a u nas jest inaczej, musimy po 40 latach odtworzyć kapitalizm, bo taka jest historyczna potrzeba państwa”.

● Zmarł Zenon Kliszko, jeden z czołowych działaczy naczelnego kierownictwa PZPR w latach sześćdziesiątych.

relacje

Z KRAJU

● Premier Tadeusz Mazowiecki przesłał na ręce marszałka Sejmu, Mikołaja Kozakiewicza, wniosek w sprawie proponowanego składu Rady Ministrów (patrz komentarz na str. 3).

● General Florian Siwicki, kandydat na ministra obrony narodowej odpowiadając na pytanie posłów z klubu PZPR, czy nastąpi odpolitycznienie wojska, stwierdził: „Premier również mi postawił to pytanie, choć w nieco innej formie: czy widzę możliwość upaństwowienia armii? Odpowiedziałem, że nasze wojsko było instytucją narodową. Powinniśmy jako wojsko wziąć młec na uwadze interes narodu, tak jak to czyni PZPR”.

● Przesłuchiwany przez sejmową Komisję Łączności z Polakami za Granicą, kandydat na wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych, gen. Czesław Kiszcak oświadczył m.in., że pragnie być lojalny wobec premiera i rządu. Aby dobrze i rzetelnie wypełniać swoje obowiązki, musi mieć do dyspozycji takie formacje jak ZOMO.

● W wywiadzie dla BBC premier Tadeusz Mazowiecki powiedział, że „armia i milicja będą również musiały zmienić swój sposób myślenia”.

● Klub Poselski ZSL — stwierdził A. Bentkowski — podjął na swym posiedzeniu uchwałę jednoznacznie po-

W PONIĘDZIAŁEK, 1 września, kiedy tekst ten musi trafić do drukarni ostateczny proponowany skład rządu nie jest jeszcze znany. Nie wiadomo, czy członkami rządu będą: przewodniczący Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów (prof. Witold Trzeciakowski), prezes NBP (prof. Władysław Baka), Henryk Woźniakowski (kierujący środkami masowego komunikowania) i prof. Jerzy Regulski (koordynujący sprawę samorządu terytorialnego). Nie wiadomo także, czy Premier nie zrezygnuje z kandydatury: Artura Balassa, prof. Czesława Janickiego i Andrzeja Kosmaka-Kamysa, którzy nie uzyskali aprobaty komisji sejmowych. Ostateczny wybór należy do Sejmu i jaki on będzie, wiedzieć nie możemy.

PREMIER: Tadeusz Mazowiecki (l. 62 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, z wykształcenia prawnik. Działacz katolicki i dziennikarz. Założyciel warszawskiego KIK-u. Wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Więź” oraz (w 1981 i 1989) „Tygodnika Solidarności”. Między 13 XII 1981 i 24 XII 1982 internowany decyzją jednego z swych obecnych zastępców.

WICEPREMIERZY:

Leszek Balcerowicz (l. 42 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, dr hab. — SGPiS. Jeden z najbardziej znanych ekonomistów młodszego pokolenia. W 1980 r. wielką popularność zdobył jego autorski projekt reformy gospodarczej. Pierwszy wicepremier mieszkający w M-4. Także minister finansów.

Czesław Kiszcak (l. 64 — Warszawa): PZPR, generał broni. Ma najdłuższy — 8-letni staż rządowy. Od sierpnia 1981 roku jest nieprzerwanie ministrem spraw wewnętrznych.

Czesław Janicki (l. 63 — Poznań): ZSL, profesor nauk rolniczych. Jeden z najwybitniejszych specjalistów w zakresie hodowli. Poseł na Sejm z Poznania. W drugiej turze wyborów popierany przez „Solidarność”. Także minister rolnictwa.

Jan Janowski (l. 61 — Kraków): SD, profesor metalurgii — rektor AGH. Poseł na Sejm z Krakowa. W drugiej turze wyborów popierany przez „Solidarność”. Przewodniczący Klubu Poselskiego SD. Także minister — kierownik urzędu ds. postępu naukowo-technicznego.

MINISTROWIE:

Jacek Ambroziak (l. 48 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, prawnik (początkowo sędzia, następnie radca prawny w „Tygodniku Solidarności” i Episkopacie Polski) i dziennikarz. Zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarności”. Poseł na Sejm z

W AŻNA nauką osobistą, którą jako ekonomista wyniosłem z września 1988 roku, jest obowiązek głębnego mówienia prawdy. W ówczesnych dyskusjach najczęściej razmi, jak pisał pod adresem mojej profesji, brzmiał: „Ekonomiści, gdzieście byli — dzisiaj tego, co mówicie dzisiaj, nie krzyczeliście rok czy dwa lata wcześniej”.

Kolejny krach gospodarki widam ze smutkiem, nie z czystym sumieniem. Przestrzegam. Między innymi, na początku roku w kilku tekstach zamieszczonych w „Relacjach” wyrażałem explicite i napisałem expressis verbis, że jeżeli nie powstrzyma się wpływu pieniądza we wszystkich jego formach (dochody ludności, inwestycje i wydatki budżetowe), grozi nam hiperinflacja. Po styczniu ostrzegałem, że utrzymanie miesięcznego wzrostu cen w granicach dziesięciu procent spowoduje (1,10¹² = 3,14) wzrost cen o ponad 200 procent, a to oznaczać musi przekroczenie przez dolara ceny 10 tysięcy zł. (W kołach bankowych, z którymi dziełem skądemśką ławę — przy okazji, panie Jerzy, serdeczne pozdrowienia — wywołano to pewne niedowierzanie i uznano zostało za panikarstwo).

No i stało się to, co mówiłem, a nawet jeszcze więcej. Do czerwca ceny galopowały w średniomiesięcznym tempie 8,3 proc. (w czerwcu były wyższe w stosunku do grudnia 1988 roku o 61 procent). W lipcu, w ewnym ostatnim technicznie, rząd premiera Rakowskiego

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Po raz pierwszy od chwili powstania tej rubryki respondenci naszej mini-sondy nie potrafili wymienić lini jednego programu telewizyjnego z ubiegłego tygodnia, zasługującego na miano hitu. Czy to rezultat telewizyjnego „bezkrólowia”?

(Red.)

OGŁOSZENIA

CHEŁM M-3, 50 m kw. własnościowe sprzedam. Oferty Lublin 5, skr. poczt. 16.

20572/G

WIELOSPECJALISTYCZNE placówki spółki „Promocja Zdrowia”. Sobotnie przed-

szkole (dzieci nie pracujących mam) oraz Ośrodek Redukcji Nadwagi i Stresów już od października, tel. 71-25-80, godz. 7-9. 20845/G

BIURO wynajmu lok. 280-03.

19256/G-5

HOROSKOPY „JAVI”. Lublin, Samsonowicza 5/26. 20775/G

WGLĄD W RZĄD

Warszawy. Minister — kierownik urzędu Rady Ministrów.

Artur Balazs (l. 37 — Szczecin): bezpartyjny — OKP, inżynier — rolnik indywidualny. Członek Prezydium Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „Solidarność”. Poseł na Sejm ze Szczecina. Minister bez teki zajmujący się zagadnieniami socjalnymi wsi.

Aleksander Bentkowski (l. 48 — Rzeszów): ZSL, adwokat. Poseł na Sejm z Rzeszowa. W drugiej turze popierany przez „Solidarność”. Przewodniczący Klubu Poselskiego ZSL. Minister sprawiedliwości.

Izabella Cywińska (l. 54 — Poznań): bezpartyjna — OKP, z wykształcenia etnograf i reżyser teatralny. Dyrektor teatrów w Kaliszu i Poznaniu. W starcie wojennym internowana. Minister kultury.

Aleksander Hall (l. 36 — Gdańsk) bezpartyjny — OKP, historyk, lider Ruchu Młodej Polski i Klubu Myśli Politycznej „Dziękania”. Członek Rady Prymasowskiej. Minister bez teki zajmujący się sprawami kontaktów z organizacjami politycznymi.

Bronisław Kamiński (l. 49 — Kraków): ZSL, dr nauk rolniczych. Do 1988 r. dyrektor Wydziału Ochrony

Środowiska w Urzędzie Miasta Krakowa. Ostatnio podsekretarz stanu w MOŚiZN oddelegowany do Sekretariatu RWPG. Minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych.

Andrzej Kosiniak - Kamysz (l. 42 — Kraków): ZSL, dr medycyny. Ordynator szpitala im. J. Dietla w Krakowie. Od ośmiu miesięcy podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia. Proponowany na ministra w tym resorcie.

Jacek Kuroń (l. 55 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, historyk. Weteran (m.in. współzałożyciel KOR) polskiej opozycji z dziewięcioletnim stażem w miejscach odosobnienia. Poseł na Sejm z Warszawy. Przewodniczący Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych. Minister pracy i polityki społecznej.

Marek Kucharski (l. 42 — Łódź): SD, inżynier. Zastępca dyrektora przedsiębiorstwa „Poczta Polska, Telegraf, Telefon” w Łodzi. Minister łączności.

Aleksander Mackiewicz (l. 45 — Warszawa): SD, ekonomista. Dyrektor przedsiębiorstwa handlowego Ars Christiana. Minister rynku wewnętrznego.

Aleksander Paszyński (l. 61 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, z wykształcenia dyplomata, ekonomista (dawniej PKPG i GUS, obecnie prezes Spółdzielni „Murator” i Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie) i publicysta gospodarczy. Minister budownictwa.

Jerzy Reguński (l. 65 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, urbanista i ekonomista (profesor PAN), a przy tym jeden z najwybitniejszych specjalistów od spraw samorządu terytorialnego. Senator z Jeleniej Góry. Minister bez teki zajmujący się zagadnieniami samorządowymi.

Jerzy Osiatyński (l. 47 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, ekonomista. Docent PAN. Uczeń i bliski współpracownik Michała Kaleckiego. Poseł na Sejm z Krosna. Kierownik Centralnego Urzędu Planowania.

Henryk Samsonowicz (l. 58 — Warszawa): bezpartyjny — OKP, historyk. Profesor UW. W początku lat 80. rektor UW i prezes PTH. Minister edukacji narodowej.

Florian Siwicki (l. 64 — Warszawa): PZPR, generał broni. Od 1973 r. wice- a od 1983 r. minister obrony narodowej.

SZCZĘŚLIWE ROZWIĄZANIE

Rząd rodzi się w bólach. Trwało to długo i wywoływało zrozumiałą społeczną niecierpliwość. Wreszcie jednak z końcem pierwszej dekady września sytuacja zaczęła się klarować. I — biorąc pod uwagę, iż w istocie jest to tworzenie zrębów IV Rzeczypospolitej — trzytygodniowy okres inkubacji można usprawiedliwić. Zwłaszcza, że wstępna ocena proponowanego składu gabinetu skłania do przypuszczeń, iż jest on bliski optymalnego.

Premier, Tadeusz Mazowiecki zdał swój pierwszy egzamin, potwierdzając opinię, iż jest wytrwałym i utalentowanym negocjatorem. Udało mu się znaleźć rozwiązanie, mieszające się w licznych ograniczeniach: zaspokoił oczekiwania większości sił politycznych, znalazł kandydatów wyrazistych, o niekwestionowanych talentach politycznych i znanych ze swoich poglądów. W odniesieniu do tych kierowników resortu, przy mianowaniu których Premier miał większą swobodę wyboru, poglądy te dają się streścić jako łagodnie czy rozsądnie liberalne. Położenie akcentu na słowo „rozsądnie” wydaje się ważne, gdyż oznacza to zdecydowany kurs na kontynuowanie

reform w jednoczesnym unikaniu awanturnictwa typu decyzji ministra Wilczka czy planu Sachsa.

Jedynym wyjątkiem od tego wyraźnie liberalnego nurtu jest osoba Jacka Kuronia, ciągle jeszcze ułożsamianego z koncepcjami socjaldemokratycznymi (niewykluczone, iż jest to ostatni socjalista w nowym rządzie). Ale to dobrze, gdyż obejmuje on resort, w którym taki sposób myślenia może być bardzo potrzebny. Godna podkreślenia wydaje się tutaj odwaga posła Kuronia. Bez wątplenia miał on pełną świadomość tego, że w istocie będzie pełnił funkcję piorunochronu, przejmującego społeczne niezadowolenie z pogarszającej się stopy życiowej.

Drugą osobą, która wykazała heroiczną odwagę, jest Aleksander Paszyński. Od wielu lat resort budownictwa uważany był za nomenklaturową „Syberię”. Wiadomo było, że nikomu nie uda się powstrzymać postępującego regresu i nominacja — na ten resort była ostatnim krokiem przed zasłużoną emeryturą lub radcostwem w Libii czy Mongolii.

Za niezwykle trafny — jeżeli zastrzymamy się przy najważniejszych dzisiaj resortach gospodarczych — należy uważać wybór Leszka Balcerowicza jako osoby kierującej całością e-

konomiki kraju (oraz dodatkowo finansami). Jest to zdecydowanie jeden z najblyskotliwszych polskich ekonomistów i — co nie bez znaczenia — bardzo w tym środowisku popularny. Wydaje się także, że nie będzie między nim i Jerzym Osiatyńskim oraz — mimo różnic w przynależności „partyjnej” — z Marianem Świącikiem najmniejszych zgrzytów. Ekipe gospodarczą kompletuje Tadeusz Syryjczyk. Podobnie jak jego poprzednik — „prywaciarz”. Jest on jednak od min. Wilczka znacznie większy (185 cm) i — co rokuje dobrze — temperament ma raczej flegmatyczny. Zanim coś zrobi — najpierw pomyśli.

Podkreślamy tę zgodność stylów myślenia i typów osobowości dlatego, że sprawność nowego rządu będzie zależała od kooperacji ugrupowań politycznych i konkretnych osób. Na to pytanie nikt z góry nie zna odpowiedzi. Przynieść ją może tylko czas. W tej jednak kwestii, do odnotowania mamy kolejny dobry prognostyk. Jest nim osoba ministra do spraw kontaktów z organizacjami politycznymi. Aleksander Hall, mimo iż wywodzi się z bardzo wyraźnie wyodrębnionego i nie przez wszystkich popieranego (powiedźmy to wyraźnie — endeckizującego) nurtu opozycji, jest lubiany przez wszystkich i nie miał najmniejszych

Krzysztof Skubiszewski (l. 58 — Poznań): bezpartyjny — niestowarzyszony, profesor PAN, specjalista w zakresie prawa międzynarodowego. Członek I Rady Prymasowskiej i Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Minister spraw zagranicznych.

Tadeusz Syryjczyk (l. 41 — Kraków): bezpartyjny — OKP, informatyk, prowadzi prywatne przedsiębiorstwo programistyczne. Jeden z przewodniczących Zjazdu „Solidarność”. Współzałożyciel Krakowskiego Towarzystwa Gospodarczego. Minister przemysłu.

Marcin Świącicki (l. 42 — Warszawa): PZPR, dr ekonomii. Sekretarz Konsultacyjnej Rady Gospodarczej. Poseł na Sejm z Warszawy. W drugiej turze popierany przez „Solidarność”. Minister stosunków gospodarczych z zagranicą.

Franciszek Adam Wieladek (l. 52 — Warszawa): PZPR, dr nauk ekonomicznych (statystyka). Od 1983 r. wice-minister transportu, żeglugi i łączności. Proponowany na kierownika tego ministerstwa.

Henryk Woźniakowski (l. 40 — Kraków): bezpartyjny — OKP, polonista i filozof. Publicysta prasy katolickiej. Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Znak”. Rozważany jako przyszły minister zajmujący się środkami masowego przekazu (ew. rzecznik prasowy rządu).

trudności ze znalezieniem wspólnego języka z socjalistą Janem Józefem Lipskim (vide ich pamiętną dyskusję przed rokiem na KUL-u), liberałami, konserwatystami itd. Obok tej umiejętności dyskusji i znajdowania ważnych punktów stykowych, cechuje go także niezbedna twardość i odwaga w podejmowaniu decyzji. Dal jej dowód 16 IV, pisząc słynny list otwarty (w istocie atakujący Wałęsę), w którym krytykował zasady „doboru opozycyjnych kandydatów na posłów i senatorów oraz rezygnował z przydzielonego mu miejsca w Sejmie.

Brak miejsca nie pozwala na szersze omówienie zalet i zasług innych ministrów. W jednym zdaniu pochwalić jednak trzeba: rozumny kompromis w doborze kandydata na ministra spraw zagranicznych, trafny (związała kobietą o gołęmb sercu i żelaznej ręce) wybór ministra (kolejna stajnia Augiasza) kultury i dowartościowanie kwestii samorządu terytorialnego. Sądzicie można także, że zastępujący Ernesta Kuczę redaktor Mieczysław Pszon da sobie radę w rokowaniach z Niemcami. Ma świetne przygotowanie. Przez kilkanaście lat co tydzień negocjował w krakowskiej cenzurze kolejne numery „Tygodnika Powszechnego”.

M. Z.

STAŁO SIĘ

Michał Zieliński

wydał osławioną decyzję zamrożenia cen. Jej skuteczność byłaby żadna, gdyby nie była ujemna. Ceny w czerwcu wzrosły o 9,5 procenta (a więc szybciej niż średnia w poprzednich miesiącach). Ubocznie zaś skutki polegały na zwiększonych zakupach ludności (trzeba szybko kupować, bo po odmrożeniu cen będzie drożej) i zmniejszeniu obrotów przez producentów (trzeba wolno sprzedawać, bo... — patrz wyżej). Oznaczało to wydłużenie kolejek i zwiększenie skali niedoborów rynkowych.

W tej sytuacji osławione „urynkowanie” było już po prostu koniecznością. Trzeba było zlikwidować kartki na mięso, bo nie było dla nich pokrycia. A co więcej, bez puszczenia cen na żywioł trzeba by wprowadzić kartki na wszystko. (Dokładnie tak samo jak 3 stycznia 1953 roku, tylko że wtedy, jak się komuś nie podobało, to szedł nie na strajk, a do więzienia). Co w świadomości społecznej będzie chyba gwoździem do trumny tej ekipy. Panowie Rakowski, Jastrzębski, Wilczek and company, zamiast uczciwie powiedzieć: „Panie i panowie, spłajtowaliśmy”, za-

częli mieć opinię publiczną zbawienymi skutkami mechanizmów rynkowych i wzięją suto zastawionych stółków po wprowadzeniu wolnych cen.

To, że nie powiedziano w porę prawdy o sytuacji, zaowocowało drugim nieszczęściem. Solidarność zwlekała z przejęciem współodpowiedzialności za gospodarczą plajkę i nie zahamowała działań rewindykacyjnych, zarówno tych ogólnych (ustawa o indeksacji), jak i spontanicznych (strajki). To zaś oznaczało dodatkowy wypływ pieniądza na rynek, na którym i tak nie było. A przy takiej sytuacji nie istniały żadne ceny, które mogłyby równoważyć popyt z podażą. W efekcie mamy argentyńską inflację (z tempem wzrostu cen, które w ciągu sierpnia wyniosło — średnio — kilkadziesiąt procent) i radziecki (i to nie z Moskwy, a raczej z odległej prowincji) rynek.

Pamięć ludzka jest zawodna. Dlatego podaję ceny podstawowych artykułów spożywczych w końcu grudnia 1938 roku, w końcu lipca br. (a więc przed „urynkowaniem”) i sierpnia. Cen artykułów przemysłowych nie podaję, bo i tak ich nie ma.

	31.12.88 (w złotych)	31.07.89	31.08.89	Wzrost cen w sierpniu (w proc.)
chleb 0,8 kg	46	62	230	452,5
bułka 0,4 kg	31	77	200	259,8
masło świeże 1 kg	680	1036	4400	424,7
mleko chude 1 l	19	19	30	157,9
cukier 1 kg	165	265	500	191,6
łopatka wiep. 1 kg	530	560	3000 ^a	892,9
schab 1 kg	890	930	9000 ^a	918,3
ser żółty Gouda 1 kg	430	473	3500	740,3
herbata indyj. 1 kg	1350	2340	5800	213,7
wódka czysta 0,5 l	1800	2347	7000 ^b	298,3
papierosy „Popularne”	45	63	200 ^c	317,5

Uwagi:

- a) i nie ma
b) na „mecie”
c) na targu.

Z zestawienia wynika, że w grupie dość przypadkowo wybranych podstawowych artykułów spożywczych wzrost cen w ciągu niecałego miesiąca wyniósł od blisko stu (mleko chude) do ośmiuset (lepsze gatunki mięsa) procent. W tym świecie podwyżka ceny tygodnika „Relacje” z 70 do 120 złotych (wskaźnik 171,4, czyli o 71 procent) wygląda może na akt filantropijno-charytatywny.

Kończąc, słów parę wypada mi powiedzieć na temat tego, co działo się i co dzieć się może. Działy się zmiany polityczne: Rakowski — na sekretarza (w negrodę), Mazowiecki — na premiera (za karę), ale od tego mięsa nie przybyło. Ekonomicznie nie działo się literalnie nic. Raz, że nie miał kto — w sytuacji anarchii rządowej — dziać, a dwa, że nawet gdyby rząd był, to też wiele zdziałać by nie mógł. Ten generalnie spłajtował.

Możliwe są dwa wyjścia. Całkowicie urynkowanie gospodarki, równocześnie z zamrożeniem wszelkich dochodów i równoczesną waloryzacją (czyli wycenianiem budżetu oraz dofinansowaniem cięciami budżetowymi) (zadanie niewiarygodne, że na osiedlu nie ma kasy, że coś jest potrzebne, że się nie może żyć). Byłoby to ni mniej ni więcej tylko drastyczne obniżenie poziomu życiowego wszystkich. Obniżenie ceny może po prostu urealnienie. Ceny

Dokończenie na str. 11

WRZEŚNIOWE DROGI PREZYDENTA I PREMIERA NA LUBELSZCZYZNIE

Mirosław Derecki

(DOKOŃCZENIE)

PREMIER Sławoj-Składkowski miał ponownie zobaczyć się z prezydentem Mościckim już w Olyce w zamku używanym głowie państwa na kolejną wojenną siedzibę przez księcia Janusza Radziwiłła.

Tymczasem w nocy z 6 na 7 września — po otrzymaniu wiadomości z Naczelnego Dowództwa, że sytuacja wojenna nie uległa poprawie i w związku z tym rząd powinien natychmiast wyjechać z Warszawy do Łucka (już 6 września zdecydowano, że pierwszy rzut biur ministerialnych ma się skierować niezwłocznie z okolic Lublina w rejon Łucka, a prezydent i jego otoczenie mają się przenieść z Krasnobrodu do Olyki, położonej za Łuckiem — premier wyruszył samochodem szosą na Brześć. Po drodze — już na Lubelszczyźnie — mijal Międzyrzec i zombardowana Biała Podlaska. W Łucku znalazł się 7 września o godz. 17.00.

8 września premier Składkowski próbował nawiązać łączność z przemierzającymi się w nowe miejsca ministerstwami, zapowiadając zebranie się „za parę dni” Rady Ministrów. Tego samego dnia konferował w Brześciu z marszałkiem Smigłym, przedstawiając min. projekt wydawania w Łucku czasopisma „naświetlającego sytuację wojenną i pracę Rządu”. Następnego dnia odwiedził, wraz z wicepremierem Kwiatkowskim prezydenta Mościckiego w Olyce.

10 września wybrał się Składkowski samochodem z Łucka — przez Włodzimierz Wołyński, Uściług, Hrubieszów i Chełm — do Lublina, aby zorientować się w sytuacji na terenie Lubelszczyzny. Zamieszczony w „Pracach i czynnościach rządu...” opis tej podróży nosi cechy wojennego reportażu. Nie zresztą dziwnego — Sławoj-Składkowski miał autentyczny talent pisarski.

„10 września 1939 r. Niedziela. [...] dzisiaj wczesnym rankiem w — cięty — piękny i słoneczny dzień, wybrałem się na inspekcję do Lublina wraz z dyr. Zyborskim radcą Karwowskim i zoferem Królakiem.

Za Włodzimierzem, w Uściługu jest mocna obsada mostu wojskiem i policją. Dalej, wzdłuż brzegu Bugu, widać rozstawione posterunki, celem ochrony prawego brzegu Bugu od uciekinierów.

W Hrubieszowie — szukam jakiś czas starostwa, gdyż biura ze względu na wielokrotne bombardowanie lotnicze przeniosły się do nowego gmachu starostwa — do domu położonego na krańcu miasta. W gmachu starostwa przebywają jedynie koloniści ewakuowani z różnych kolonii niemieckich na Wołyniu, w których wykryto akty sabotażu i szpiegostwa. Niemcy mają dobry wywiad, gdyż na drugi dzień po przeniesieniu biur starostwa zaczęli bombardować niepozorny dom, do którego te biura zostały przeniesione, oszczędzając dawny gmach. [...]

Na kilkanaście kilometrów przed Chełmem pusta dotąd i spokojna szosa zaczyna się zaludniać. Idą zrazu pojedynczy ludzie, ale z nimi sunie tłum uchodźców, a wśród nich wyróżniają się grupy więźniów. [...] Strażnicy więzienni idą razem z więźniami, gwarząc przyjaźnie. Wspólna niedola pogodziła ich i połączyła. Jeden ze strażników [...] wyjaśnia, że Chełm został straszliwie zombardowany; zarówno węzeł kolejowy, jak miasto. Więzienie jest zupełnie rozbite, więc oni otrzymali

rozkaz przeprowadzenia dziś więźniów do Hrubieszowa, a dalej będą szukać jakiegos innego więzienia. [...]

Powoli, jadąc wśród grup uciekinierów i więźniów, docieramy do Chełma. W mieście rzucają się w oczy ślady bombardowania. [...] Starosta Lipski daje nam benzynę. [...]

Ruszamy na Lublin przez zombardowane Piaski Luterskie i przybywamy do miasta dopiero pod wieczór. Niedaleko Placu Unii Lubelskiej spotyka mnie wojewoda Tramecourt z naczelnikiem Kamińskim i inspektorem policji Brożyńskim.

Hotel „Victoria”, w którym mieli mieszkać posłowie i senatorowie, jest zupełnie rozbity. Wzdłuż ulicy Kościuszki dymią jeszcze spalone domy. Nie usasić i tej nocy wskazały światłem drogę samolotom niemieckim, ułatwiając im bombardowanie. Było to pierwsze w Lublinie nocne bombardowanie, po kilku już dziennych. Najsilniej był Lublin bombardowany w dniu wczorajszym, 9 września, gdy między godziną 10-tą a 12-ą rano naczelnik Kamiński naliczył 24 samoloty niemieckie.

Na Placu Unii Lubelskiej stoją spiętrzone autobusy i samochody, rozbite bombardowaniem. Przed pomnikiem Unii leżą graty, obrazy, meble wywiezione ze spalonych domów. [...] Na ulicach patroluje straż obywatelska z biało-czerwonymi opaskami na rękawach i w dubeltówki. Autobusy i samochody, zombardowane przez lotników niemieckich, przeznaczone były do ewakuacji biur wojewódzkich i czekały przy Placu Unii Lubelskiej pod drzewami skweru. Poza tym bombardowane były Zakłady Lotnicze, Zarząd Miejski, Sąd Okręgowy, Brama Lubelska [Brama Krakowska — przyp. M.D.).

Pytanie, czy bombardowanie zostało wywołane przez zwiększony ruch samochodowy, czy też Niemcy wiedzieli o projektowanym przeniesieniu Rządu do Lublina? Sądząc z jednoczesnego bombardowania Kazimierza i Nałęczowa, również przewidzianych przy ewakuacji dla dyplomacji, należy przyjąć to drugie przypuszczenie. Zdanie to podziela wojewoda Tramecourt i dyr. Zyborski.

Z wielką radością dowiaduję się, że bezcenne narodowe skarby przechowywane na Wawelu zostały ocalone z rąk niemieckich. Pułkownik Szuster przewiózł je z Krakowa do Kazimierza Dolnego rzeką Wisłą na barkach, a z Kazimierza zostały zabrane na samochodach rządowych przez władze województwa lubelskiego.

Przez Lublin w ciągu ostatnich dni był bardzo ożywiony ruch, gdyż rzesze uchodźców napływały od Garwolina i Puław. Dnia 7 września Dowódca Okręgu Korpusu, gen. Smorawiński, dał rozkaz oczyszczenia szosy Warszawa — Lublin celem ułatwienia odwrotu dla naszych wojsk, mających bronić prawego brzegu Wisły. Użyci zostali do tego, w zwartych oddziałach, policjanci z województwa śląskiego i poznańskiego, razem około tysiąca szeregowych policji. Zepchnęli oni do rowów parę tysięcy samochodów, pozostawionych przez właścicieli z powodu braku benzyny, które barykadowały szosę. [...]

Połączenia telefoniczne i telegraficzne, mimo wielokrotnego naprawiania, są pozrywane, tak że komunikować

się można tylko przez telefony polowe wojska.

Z powodu braku czasu nie zwiedzam biur Urzędu Wojewódzkiego, gdzie czeka na mnie wicewojewoda Chmielewski.

Po krótkiej rozmowie z gen. Smorawińskim i komendantem garnizonu płk. Czaplinskim jadę, już wieczorem, przy świetle księżycy, przez Lublin, szosą warszawską w kierunku frontu — do kwatery gen. Dąb-Biernackiego, znajdującej się we dworze w Snopkowie pod Jastkowem. Za miastem panują zupełne ciemności, bo droga do Warszawy jest wysadzona dużymi drzewami. Ruch wojska ożywiony, przechodzą jakieś piechoty oddziały i kolumny amunicyjne. Po bokach szosy słychać nawoływania żołnierzy należących do sparkowanych taborów.

Po pół godzinie kluczenia wśród opłotków i wawozów lessowych, znajduję wreszcie cichy dworek, idąc za wskazówkami telefonistów zakładających połączenie telefoniczne do Sztabu Armii.

Gen. Dąb-Biernacki wygląda dobrze zmęczony, mówi, że żołnierz nasz bije się świetnie, ma przewagę nad piechotą niemiecką, ale nie może sprostać, gdy, jak mówią żołnierze: „Żelazo gdzie” [...] Niestety, brak nam czołgów do skutecznego oporu.

Czołgi niemieckie zjawiają się wszędzie, zmuszając żołnierzy do odwrotu w ciągu nocy, a do walki przez cały dzień. Niemcy już przeszli Wisłę i trudno ich będzie wyrzucić z powrotem.

Wracam do Lublina, stropiony tą realistyczną rozmową. Zjadamy pośpiesznie kolację w restauracji z wyrwanym bombą rogiem sali i, dobrze po północy, zaczynamy drogę powrotną w kierunku na Łuck.

Do Piasków Luterskich przebiegam nieźle, oświetlając od czasu do czasu drogę przed sobą. Za zakrętem na Chełm dopędzam kolumnę wojskowych czołgów i samochodów, i tracę wiele czasu przy jej wymijaniu, gdyż żołnierze są tak samo wrażliwi na światło latarniami jak ludność cywilna i krzyczą co chwila: „Światło! światło!”.

Wreszcie minęliśmy kolumnę i, świecąc w polu, a gasząc latarnie na krzyki Straży Obywatelskiej po miastach, koło 5 rano, skonani, docieramy do Łucka, gdzie właśnie nadlatują poranne samoloty niemieckie. [...]

Z rozmowy z gen. Dąb-Biernackim widzę, że dalszy odwrot jest nieunikniony. Gdzie więc się zatrzymamy? Tyle gen. Sławoj-Składkowski na temat swej podróży inspekcyjnej przez Lubelszczyznę w dniu 10 września 1939 r.

W siedem dni później i prezydent Mościcki i on, premier, przekraczali granicę polsko-rumuńską pod miejscowością Kutę. Tego samego dnia, ale wczesnym rankiem, przekraczała granicę polsko-radziecką Armia Czerwona...

Tymczasem do Krasnobrodu, z którego przed dziesięcioma dniami wyjechał prezydent Mościcki, dopiero teraz dotarła wojna:

„17 września — pisze w swej relacji senator Kazimierz Fudakowski — nadciągnął do Podzamku-Krasnobrodu — przyp. M.D.] sztab jednej z naszych armii. Kazano nam opróżnić dom. Zajmą go saperzy, a skoro świt zacznie się w tym miejscu bój.

Ze świtaniem, istotnie, rozpoczął się bój, a już wieczorem dom nasz na Podzamku i cały folwark zajęło dowództwo i sztab dywizji niemieckiej. [...]

Po dwóch tygodniach nieustających bojów, sztab niemiecki, zaskoczony przez jeden z naszych cofających się oddziałów, uciekł w popłochu, tracąc pod wsią Jacnia kilku oficerów, a już w pierwszych dniach października nadeszły wojska sowieckie, też zajmując nasz dom osnuty siecią kabli polskich i niemieckich.

Rozpoczęło się współzycie ze sztabem armii rosyjskiej. Pozostawiono nam do użytku 2 pokoje na piętrze, w których trzeba było zmieścić 22 osoby naszych domowników. Mnie odsunęto od zarządu majątkiem, uznając go niezwłocznie za własność państwową. Szczegóły tego współzycia stanowią osobną kartę wojennych dziejów Krasnobrodu, zamkniętą po dwóch tygodniach — wyjazdem wojsk sowieckich poza granicę ustaloną traktatem zawartym pomiędzy III Rzeszą a ZSRR we wrześniu 1939 r. [Chodzi tutaj o ustalenia z 28 września 1939 r., w dodatkowym tajnym protokole do układu zawartego tego dnia w Moskwie między Niemcami a Związkiem Radzieckim — przyp. M.D.).

Wyjazdowi temu towarzyszyło ciekawe zdarzenie — kontynuuje Kazimierz Fudakowski. — Przed domem naszym stały ostatnie czołgi, które za chwilę miały wyruszyć za Bug, i dwa wozy ciężarowe naładowane paczkami w złotym opakowaniu. Oficer konwojujący, na pożegnanie zwrócił się do stojącego obok administratora majątku, p. Teleżyńskiego, z uwagą, że domownicy powinni być wdzięczni żołnierzom Armii Czerwonej za uratowanie im życia. Na zapytanie dlaczego, wskazał na wozy naładowane paczkami. Zawierały one 2 tony materiałów wybuchowych. Przed paru godzinami znalezione je w piwnicy pod domem. Natrafili na nie dzięki przypadkowi: przed odejściem otrzymali rozkaz zabrania wszystkich kabli, z których ostatni — wychodził z piwnicy. Dla ostrożności odcięli kabel u wylotu piwnicy, w której złożone były owe 2 tony materiałów wybuchowych. Następnie rozpoczęli zwijanie kabla, co doprowadziło ich, w odległości 1,5 km od domu do zegara [ręcznego iskrownika zapalającego — przyp. M.D.), z którym był połączony. Była więc to mina, na której przez kilka tygodni przesiadywały sztaby niemiecki i sowiecki oraz my z całą naszą rodziną i gośćmi.

Dopiero później dowiedzieliśmy się od jednego z saperów naszej armii, który sam brał udział w zakładaniu tej miny, że założono ją w chwili, gdy z rozkazu sztabu [polskiego, 17 września — przyp. M.D.] opuszczaliśmy dom przed bojem. W zamieszaniu zapomniano o niej. Istotnie, tylko przypadkowi zawdzięczaliśmy życie.

Z odejściem wojsk sowieckich Krasnobród i nasza siedziba Podzamek weszły w tryb niemieckiego życia okupacyjnego. [...] W drugiej połowie października 1939 r. wrócił do domu nasz syn Jerzy, porucznik rezerwy 12 pułku ułanów, po walkach w obronie Warszawy, w których brał udział. W nocy z 10 na 11 listopada aresztowały go władze wojskowe. Wywieziono go do oficerskiego obozu jeńców w Murnau, skąd powrócił w kwietniu 1946 r.”

Tak kończy się relacja senatora Kazimierza Fudakowskiego, w którego XVII-wiecznym dworze-pałacu rezydował przez krótki czas we wrześniu 1939 r. prezydent Rzeczypospolitej.

Jest to także jedyna znana mi relacja właściciela majątku ziemskiego w Polsce, dla którego wkroczenie do Polski 17 września 1939 r. Armii Czerwonej — miało jakiś „pozytywny” finał.

LISTY

Czy „Cień” był bohaterem?

W tygodniku „Relacje” nr 30 (10—16.08. br.) w dziale „Listy”, ukazała się prośba p. Janiny Król-Nowickiej z Warszawy o bliższe dane dotyczące Bolesława Kowal-

skiego pseudonim „Cień”, dowódcy oddziału AL. W nawiązaniu do treści zawartej w prośbie, w której określa się „Cienia” jako bohatera narodowego, pragnę zabrać głos.

Nie wiem, na jakich „źródłach” p. J. Król-Nowicka opierała się, pisząc swoją pracę magisterską na temat „Cienia” i jego heroicznych czynów, ale niewątpliwie te źródła były bardzo wątpliwego pochodzenia, bowiem zawęzały się nie do faktów historycznych, lecz do propagandy.

Od 1944 r. do dnia dzisiejszego poi się nas mistyfikacjami o bohaterach spod znaku GL i AL. Dobrze to może i dla przedszkola-

ków, ale nie dla nas, byłych żołnierzy Polskiej Walczącej wszystkich innych odcieni niż GL i AL. Tak się bowiem składa, że w latach okupacji niemieckiej przebywałem na terenie, w którym działał „Cień”. Najogólniej mówiąc, bohaterska walka i działalność oddziału „Cienia” ograniczała się nie do walki z okupantem, lecz do bratobójczej wojny z oddziałami Narodowych Sił Zbrojnych. W wyniku tych „bohaterskich walk” spalono niejedną chałupę na polskiej wsi, ginęli zupełnie niepotrzebnie ludzie, powiedzmy tylko o jednej bitwie pod Borowem. Znałe mi są doskonale i inne wypadki np. de-

molowania budynków urzędów gminnych przez nikogo nie bronionych... Ale takie właśnie działania nikomu chwały nie przynosiły, a już w żadnym wypadku nie utrudniały życia okupantowi!

Nie sposób też nie wspomnieć, iż z szeregow AL rekrutowali się późniejsi „bohaterowie” w urzędach bezpieczeństwa publicznego, z „działalnością” których od dłuższego już okresu rozprawiają się „Relacje”, za co niech mi wolno będzie złożyć wyrazy szczerzego po-dziwu i głębokiego szacunku.

Lubomir Stryjecki
Lublin

PLAC jest duży, obsiany trawą. Prawie pośrodku stoją połączone ze sobą dwie huśtawki, a właściwie jedna, bo druga oberwana i zniszczona. Opodal piaskownica i urządzenie w rodzaju fali, po którym lażą dzieci. Wieszają się rękami na poręczach, machając w powietrzu nogami. Po trawie ganiają dzieci w różnym wieku. Jedne za piłką, inne ot, tak. Są przecież wakacje. Słońce przygrzewa.

Nieco z boku od zieleni trawy odbija się w słońcu krwawa plama. Podchodzę bliżej. Na dwóch płytkach, w niewielkim wazonie ułożony bukiet z czerwonych kwiatów.

Poniedziałek 29. maja zaczął się jak każdy inny. Mąż poszedł do pracy, trójka starszych dzieci do szkoły, a Piotruś płał się po mieszkaniu, chodząc krok w krok za matką.

— Po obiedzie — mówi matka Piotrusia — dziewięcioletnia córka chciała wyjść z małym na plac zabaw. Czy miałam im zabronić? Wszystkie dzieci z okolicznych wieżowców bawią się na tym placu. Z okna mieszkania mam możliwość kontrolowania ich zabawy. Przed szesnastą wrócił mąż z pracy. Właśnie zaczynał jeść obiad, kiedy do mieszkania wpadła córka sąsiadów. Powiedziała, że Piotruś leży na trawie i chyba nie żyje bo wpadł pod traktor. Zesztywniałam. Przecież parę minut temu mąż przechodził koło bawiących się dzieci. Obydwoje wybiegliśmy z mieszkania. Syn leżał prawie na środku placu zabaw. Z uszu i noska leciała mu krew. Obok niego nikogo nie było. Starszy pan, który widział całe zajście z balkonu, zadzwonił już na pogotowie. Lekarz z pogotowia wezwał karetkę reanimacyjną. Reanimacja nie trwała długo. Piotruś zmarł. Tuż obok niego stały dwa wozy z wesołego miasteczka, przyciągnięte tu przez traktor. Na stopniu jednego z nich siedział nieruchomo młody mężczyzna. Kierowca. Siedział jakby nic do niego nie docierało.

Bogdan P. ma dwadzieścia trzy lata. W kwietniu wrócił z wojska i ponownie rozpoczął pracę w Zjednoczonym Przedsiębiorstwie Rozrywkowym w Krakowie. Z wesołym miasteczkiem zjechał do Lublina. 29 maja zaczęło związać urządzenie, przenosząc wesołe miasteczko z ulicy Zana na Kalinowszczyznę.

— Ciągnąłem traktorem dwie przyczepy mieszkalne, o te — podchodzi ze mną do wagonów, pokazując, w jaki sposób są one ze sobą połączone. — Wjechałem na osiedlową uliczkę, a z niej zjechałem na plac porośnięty trawą, na którym mieliśmy rozłożyć urządzenia. Za mną jechał traktorem kolega, który też ciągnął przyczepę. Objechałem plac dokoła, aby ustawić wagony tam, gdzie wyznaczono im miejsce. Pośrodku placu widziałem bawiące się dzieci. Jechałem bardzo powoli. Właśnie wykonywałem skręt. Na łuku jedna przyczepa chowa się za drugą. Usłyszałem krzyk kobiety. Biegła w moją stronę krzycząc, że przejechałem dziecko. Zatrzymałem traktor. Pod przyczepą leżał mały chłopiec. Pobiegłem do automatu, ale już ktoś zawiadomił pogotowie.

5 sierpnia br. prokurator umorzył postępowanie w sprawie wypadku drogowego przeciwko Bogdanowi P., u którego nie stwierdzono alkoholu w krwi. Pojazd i ciągnięte przez niego urządzenia odpowiadały też wymaganiom technicznym.

Prokurator napisał w uzasadnieniu: „W czasie zakręcania zestawem w lewą stronę kierujący nim nie widział prawej strony, ponieważ zestaw, zataczając łuk, zasłaniał widoczność pomiędzy przyczepami. Umocowane bowiem lusterka wsteczne nie pozwalały na odpowiednią widoczność prawej strony zestawu w chwili objeżdżania środka placu, na którym miały być ustawione te przyczepy. Dlatego też kierujący ciągnikiem nie widział, że nie wszystkie dzieci pozostały na środku placu i jedno z nich podbiegło do holowanych przyczep...”

Powodem wypadku było nieostrożne zachowanie się nieletniego pieszego Piotra G., który wraz z dwoma innymi chłopcami w czasie jazdy ciągnika po obrzeżu placu, uczył się dyszla łączącego pierwszą przyczepę z drugą. W momencie, gdy zestaw wykonywał manewr skrętu, dyszel przyczepy schował się nieco pod pierwszą przyczepę i w tym czasie Piotr G. spadł na ziemię pod tę przyczepę. Dwaj pozostali chłopcy uciekli. Spadł tak nieszczęśliwie, że został przejechany.

Tak więc powodem powstania wypadku było pozostawienie nieletniego Piotra G. w miejscu, gdzie opieka osób dorosłych była konieczna i tylko i wyłącznie jego nieostrożność i niezgodne z obowiązującymi zasadami bezpieczeństwa zachowanie było powodem jego wypadku i śmierci...”

Matka Piotrusia pochyla się nad zdjęciami, na których ona z mężem i czwórka dzieci uśmiechają się radośnie do obiektywu.

— Prokurator obciąża nas jako rodziców za śmierć syna — mówi cichym głosem. — Pisz, że syn zginął w wypadku drogowym, bo jako pieszy zachował się nieostrożnie i niezgodnie z obowiązującymi zasadami bezpieczeństwa. Gdzie obowiązującymi zasadami? Na drodze publicznej czy na placu zabaw? Pisz też, że powodem wypadku było pozostawienie syna bez opieki dorosłych w miejscu, w którym opieka ta była konieczna. Gdzie więc jest miejsce, w którym dzieci mogłyby bawić się bezpiecznie, w którym dziecko nie musiałoby warować przy nodze dorosłego? Czy takim miej-

scem nie jest nawet plac zabaw? Proszę pani, nikt mi już syna nie zwróci. Pyta pani czy winię kierowcę za to, co się stało? Nie. Nie chcę, by poszedł siedzieć. Ale czy winę za śmierć syna ponoszą tylko ja? Czy wszyscy zrobili absolutnie wszystko, co do nich należało? Porozmawiajmy o tym. Niech ten artykuł będzie chwilą zastanowienia. Nie chcę, by kiedyś łzy innej matki popłynęły tak jak moje.

List do redakcji „Kuriera Lubelskiego” nadszedł niedługo po wypadku. Napisała go mieszkanka wieżowca sąsiadującego z mieszkaniem rodziców Piotrusia:

„Z myślą o dzieciach wydał ktoś zezwolenie na rozbicie wesołego miasteczka na placu zabaw w dzielnicy Kalinowszczyzna, na trawniku obok huśtawki, zjeżdżalni i innych tego rodzaju akcesoriów. Jest to jedyny zielony azyl dla dzieci w tej dzielnicy. Ganiane i potrącane przez samochody na wyasfaltowanych alejkach, które strzegą znaki zakazu przez nikogo nie respektowane, na tym właśnie trawniku dzieci czuły się bezpieczne, a matki spokojne. Kto im mógł tu zagrozić? Dwa razy do roku ręczna kosiarka? I stało się, że zginęło pięcioletnie dziecko. Dziecko, w którego tak krótkiej pamięci zakodowane było 100-procentowe bezpieczeństwo, tu właśnie, na tym zielonym kobiercu. Ono nie mogło przewidzieć, że jakiś bezmózgi decydent jednym podpisem wyda na niego wyrok śmierci...”

— Wszystkie swoje dzieci — mówi matka Piotrusia — od małego uczyłam, jak mają przechodzić przez jezdnię, jak zachowywać się na ulicy. Uczulałam na groźące im niebezpieczeństwa. Robiliśmy

z nimi przez następne dwadzieścia lat nie będzie przedziwne na wybudowanie pawilonu? Ile dzieci wspominałoby swoje dzieciństwo w bardziej rozrywkowych kolorach?

— Jest ładny plac zabaw przy przedszkolu, ale zamknięty i ogrodzony płotem.

— Ja przykazałam dzieciom bawić się tylko na tym placu i nigdzie indziej nie chodzić. Mieszkam o tu, na ósmym piętrze, i dobrze je z okna widzę. Przecież chłopaków w mieszkaniu nie utrzymam. Więc gdzie te dzieci mają biegać? Wokół po osiedlu jeżdżą samochody. A ten plac jest wielki. W piłkę mogą grać. Co to za kierowca, który wjechał pomiędzy bawiące się dzieci?

— Czy można było uniknąć tego wypadku? — pytam Bogdan P.

— Gdybym mógł go przewidzieć — słyszę — to bym w ogóle nie siadał wtedy za kierownicą.

— A może trzeba było zachować szczególną ostrożność, wjeżdżając w bawiące się dzieci?

— Proszę pani, widziałem grupę dzieci bawiących się na środku placu. Nie widziałem, aby ktoś res podbiegło w moją stronę.

— Ale trzech chłopców uczerpiło się dyszla. Gdyby któryś z pana kolegów pilotował traktor ciągnący przyczepy, to stojąc na placu, musiałby widzieć podbiegających chłopców.

— Nigdy czegoś takiego nie praktykowaliśmy.

— A teraz? — pytam.

Kierowca pochyla nisko głowę. Milczy.

Szef wesołego miasteczka, które po wypadku zlokalizowane zostało w innym miejscu, wyciąga wszystkie dokumenty potwierdzające, że nigdy nie robili nic wbrew przepisom i zaleceniom.

— To był nieszczęśliwy wypadek. A pani muszę powiedzieć, że niejednokrotnie podczas instalowa-

BY ŁZY MATEK NIE PŁYNEŁY

Izabella Wlazłowska

to z mężem obydwój, tym bardziej, że właśnie mąż jest zawodowym kierowcą. Proszę pani, pod tym względem zrobiliśmy z mężem chyba wszystko, aby nasze dzieci nie zginęły w wypadku drogowym. I Piotruś i pozostałe dzieci miały przykaza- ne, aby bawiły się przed blokiem lub właśnie na tym placu, gdzie przez okno w każdej chwili mogłam je zobaczyć. Na placu przeznaczonym dla dzieci, a więc bezpiecznym, po którym żaden traktor, samochód lub inny pojazd nie miał prawa jeździć. Ktoś przecież wydał zezwolenie, aby wjechały na ten plac traktory. Ktoś nie pomyślał o tym, aby asekurować manewrujące po placu zabaw ciągniki z przyczepami. Tym bardziej, że na placu tym bawiły się dzieci w różnym wieku. A przecież reakcje dzieci są różne, bo to tylko dzieci. Jakiej logiki w zachowaniu można wymagać od 5-letniego dziecka? A jakiej od chłopców z drugiej i czwartej klasy, którzy razem z moim synem uczerpił się dyszla? Kto z nas, rodziców, wiedział, że właśnie na tym placu będzie „urządzone” wesołe miasteczko? Kierownictwo wesołego miasteczka mogło zabezpieczyć teren chociażby sznurkiem. Mój syn znalazł śmierć pod kołami, a przecież równie dobrze inne bawiące się na tym placu dziecko mogło wejść na nie umocowane części karuzeli, zlecieć i skrócić sobie kark.

Dyrektor Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Miasta w Lublinie jest jeszcze dzisiaj wstrząśnięty tym, co się stało. Tym bardziej, że to jego podpis widnieje pod zezwoleniem na lokalizację wesołego miasteczka właśnie na placu przy wieżowcach.

— Zarzucono mi, że swoim podpisem spowodowałem śmierć tego dziecka — mówi. — Kierownik wesołego miasteczka zgłosił się do mnie z pozytywnej opinią Komitetu Osiedlowego Samorządu Mieszkańców na zlokalizowanie miasteczka właśnie w tym miejscu. Nie było przeciwwskazań. Plac ten stanowił tzw. rezerwę budowlaną. Jest to teren zieleni ogólnodostępnej, na którym w przyszłości będzie budowany pawilon handlowy. To nie jest żaden plac do zabawy. Kto więc pozwolił zrobić tam plac zabaw dla dzieci i zainstalować jakieś huśtawki i zjeżdżalnie?

Rozmawiam z mieszkańcami trzech wieżowców, usytuowanych tuż przy placu:

— Mieszkam tu od początku lat siedemdziesiątych, a więc prawie dwadzieścia lat i nic nie wiem o tym, że na tym placu ma być budowany pawilon handlowy. Bawiły się na nim moje dzieci, a wtedy to nawet trawa nie była tu posiana. Ot, taki był księżycowy krajobraz, same doły i rozpadliny. Teraz tylko patrzeć, jak w tej właśnie piaskownicy będzie bawił się mój wnuc. No bo, proszę mi powiedzieć, gdzie dzieci z naszej dzielnicy mają się bawić?

— Kto myśli o dzieciach. Architekci malują na planszach same sypialnie, bo i tak na wykonanie reszty żaden budowlanec nie będzie miał czasu.

— Przez te dwadzieścia lat mógł być przecież w tym miejscu całkiem ładny plac zabaw i nic by to „rezerwie budowlanej” nie przeszkadzało. A je-

nia lub demontażu naszych urządzeń mamy do czynienia z dziećmi, które rozlażą się po terenie tak, że nie jesteśmy w stanie ich wszystkich usunąć. Ani nasze krzyki, ani prośby niewiele skutkują. Rodzice naprawdę powinni bardziej troszczyć się o swoje dzieci i zwracać uwagę na to, gdzie są i co robią.

Przewodniczący Komitetu Osiedlowego Samorządu Mieszkańców czuje się winnym.

— Teraz, kiedy po wypadku poszedłem obeerzć to miejsce — mówi — ścierplem na samą myśl, że chciałem tam zrobić plac zabaw. Wieżowce przedzielone są od placu osiedlową ulicą, po której jeżdżą samochody. Nie daj Boże, aby jakieś dziecko, biegnąc spod bloku na plac, dostało się pod samochód. Ale przecież chciałem dobrze. Pani redaktor, ta jedna z największych w Lublinie dzielnica mieszkaniowa naprawdę nie ma placów zabaw dla dzieci. Co te dzieci mają ze sobą począć? Ale jest jeszcze i inna prawda. Na każdym zebraniu słyszymy, że nie ma w dzielnicy życia kulturalno-sportowego. A był przecież w wąwozie amfiteatr. Podłoga na estradzie ułożona była z ciężkich bali. Rozebrano ją. Ławki w amfiteatrze polamano. Położyliśmy więc tam betonowe płyty, by na nich można było urządzić imprezy. Zorganizowaliśmy taką w Dniu Dziecka. Pospytały się skargi, że orkiestra ze szkoły górniczej zakłócała spokój. A przecież to był środek dnia. Jedni skarżą się, że brak jest w dzielnicy placów zabaw i obiektów sportowych dla dzieci. Inni skarżą, że dzieci należy usunąć z placów zabaw pod blokami, bo hałasują i zakłócają spokój. A ja chciałbym i tych zaspokoić, i tamtych uszczęśliwić.

Autorka listu do „Kuriera Lubelskiego” jeszcze do dziś jest pod wrażeniem tamtego popołudnia. Przeraził ją nie tylko wypadek, ale zachowanie się dzieci i osób dorosłych.

— Jestem zahartowana długoletnią pracą w służbie zdrowia. Widziałam dużo wypadków, zgonów, ale nigdy w życiu nie widziałam takiej obojętności w obliczu śmierci. Z balkonu mojego mieszkania na siódmym piętrze patrzyłam na zachowanie ludzi. Właściwie nikogo nie obchodziła śmierć tego dziecka. Między lekarzami reanimującymi chłopca uwijały się bez troski inne dzieci. Bawiły się. Matki, ojcowie nie reagowali. Tylko jedna matka przyszła na plac i zabrała do domu swoje dziecko. Dla innych była to rozrywka. Nareszcie na tym placu coś się działo.

W zakończeniu listu do redakcji napisała:

„Patrząc z 7 piętra, miałam wrażenie, że to makabryczna majówka. Tylko to białe prześcieradło i zastygłe postacie klęczących rodziców. Samotnych w tym tłumie. Rozbawionym tłumie. Na koniec przyszedł pies i zliznął rozlaną na trawie krew...”

Gorące Wilno

„NA LITWIE
NIE MA POLAKÓW!”

Henryk Makarski

KIEDY w 1987 roku, zauroczony Litwą, stałem się czytelnikiem „Czerwonego Sztandaru”, jedynego pisma oficjalnie wydawanego w języku polskim na terenie Kraju Rad, zdarzyło się, że po kilku dniach nieobecności w Lublinie zapytałem w księgarni „Masza”:

— Czy ja przypadkiem nie mam już tego numeru?

— Oczywiście, kupił pan.

— A skąd pani wie?

— No bo dostajemy 9 egzemplarzy, zostało 8, a pan jest jedynym czytelnikiem...

Minęło ledwie dwa lata. Jeśli nie zajrzę do tej księgarni w ciągu godziny-dwóch od jej otwarcia, może „Czerwonego Sztandaru” zabraknąć! Tak, zainteresowanie Litwą wzrasta gwałtownie z miesiąca na miesiąc, stowarzyszenia polsko-litewskie powstają jak grzyby po deszczu. W samym Lublinie są już dwa: filia Stowarzyszenia Miłośników Grodna i Wilna oraz filia Stowarzyszenia Przyjaciół Wilna i Ziemi Wileńskiej.

Rozmowa
trzecia

Jestem znów w Wilnie. Dwunasto-piętrowy wieżowiec przy Al. Kosmonautów 60, siedziba kilku redakcji i wydawnictw. Zanim nowoczesną szwedzką windą wjadę na „poddasze”, do „Czerwonego Sztandaru”, przyjaciele prowadzą mnie na II piętro. W korytarzu, obok stołówki, wisi mapa Litwy. Mapa szczególna, wydana w 1979 roku w USA. Widać na niej wyraźnie aż 3 granice polsko-litewskie: tę obecną, tę wytyczoną przez Lenina, no i tę historyczną, łaskomie zagarniającą terytorium Polski...

— W dzisiejszym numerze „Gintasis Kraštas” opublikowano list od Litwina, o tym jak to pijany polski celownik-sadyista rzekomo znęcał się przez 12 godzin nad litewskim turystą! — częstują mnie na przywitanie.

— To sprawka „Vilniji”, która mać wodę, by łapać w niej polityczne ryby!

— Rzekomi czytelnicy „Czerwonego Sztandaru” wzywają w TV do bojkotu naszej gazety i bojkotu „Tiesy”, a papier nasz chcą przetrzymać na jeszcze jedno wydawnictwo dla „Sajudisu”!

— Ciągłe pogroźki o zamknięciu jedynej polskiej gazety; jak w takim zgielku można spokojnie pracować?

— No i ta historyczna obawa przed polonizacją Litwinów przez polską TV! — oburzają się dziennikarze i podsuwają mi pod nos petycję do władz republiki, podpisaną przez 800(!) reprezentantów litewskiej nauki: „Program polskiej TV ogląda 40 proc. mieszkańców, podczas gdy Polacy u nas stanowią tylko 7 procent... Transmisja polskiej TV kosztem innych narodowości Litewskiej SRR może być zrozumiana jako kontynuacja dawnej polityki polonizacji i rewanżystowskich zakusów wobec Wileńszczyzny. Radio i Telewizja Litewskiej SRR już transmitują programy w języku polskim, w trakcie których należałoby lepiej zapoznać z kulturą Litwy”.

— To śmieszne w dobie telewizji satelitarnej!

Nietęgo idzie nam rozmowa o gazecie. Z pięknej sali konferencyjnej co i rusz wymyka się kolejna osoba. Opo-

wiadam o swoim mieście i swojej twórczości, czytam wiersze. Ale nie o spotkanie autorskie przecież tu chodziło. Przyjechałem do Wilna po raz kolejny, by zbierać materiały do książki o tym, jak się we współczesnej Litwie żyje. A może właśnie tak, tak tu Polakom się żyje: półgębkiem, nerwowo?

Znowu wglębiam się w wycinki prasowe. Oto list otwarty do I sekretarza KC KP Litwy A. Brazauskasa. Czytam m. in.: „Czerwony Sztandar” w swych publikacjach stale zniekształca historię Litwy Wschodniej, sytuację językową, bezpodstawnie występuje przeciwko artykulom, w których mówi się o dawnej, i jeszcze dziś zdarzającej się, przymusowej polonizacji osób mówiących po białorusku i po litewsku... Lansuje myśl, że mieszkańcy Litwy Wschodniej od najdawniejszych czasów byli Polakami... W prasie raz po raz przewijają się wiadomości o tworzonych przez Polaków autonomiach... Dlatego uważamy, że „Czerwony Sztandar” nie spełnia funkcji organu prasowego KC KP Litwy. Ta gazeta, wydawana kosztem wszystkich mieszkańców Litwy, podjudza tylko właśnie międzynarodowości... Czas wreszcie ocenić działalność gazety „Czerwony Sztandar”, natomiast kolegium redakcyjne ukształtowało z pracowników potrafiących rozstrzygać kwestie międzynarodowości...”

Przez moment myślałem, że to anonim, a jego autorzy schowali głowy w piasek w obawie przed procesem sądowym o zniesławienie. List podpisał bez zastrzeżeń 13 stowarzyszeń: Związek Plastyków Litwy, Wileńska Rada Litewskiego Funduszu Kultury, Wileńska Rada Litewskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy, Białoruskie Towarzystwo Kultury, Ukraińskie Towarzystwo Kultury, Zarząd Klubu Kultury Łotewskiej, Estońskie Towarzystwo Kultury, Zarząd Stowarzyszenia Moldawskiego, Rada Towarzystwa „Vilnija”, Stowarzyszenie Młodzieży Litewskiej „Lithuanica”, Towarzystwo Litwinów na Białorusi, Związek Kompozytorów Litwy, Związek Architektów Litwy.

Uczciwiej nieco zachował się Związek Pisarzy Litewskiej SRR, formułując imiennie (sekretarz zarządu Valentinas Swentickas) następującą uwagę: „Aprobując w zasadzie zawarte w piśmie scharakteryzowanie sytuacji, nie sądzę, że proponowane rozwiązanie administracyjne jest jedyną perspektywą. Aktualną i realną drogą byłoby jednocześnie poszukiwanie prawdziwej łączności z trzeźwo myślącą inteligencją polską”.

A już całkiem po ludzku potraktował sprawę / przewodniczący zarządu Związku Dziennikarzy Litwy, Domas Szniukas: „Niewiele osiągniemy poprzez rezolucje, zbieranie podpisów, wzywanie do podejmowania środków administracyjnych. Szczególnie bezużyteczna jest drobiazgowo polemika, gdy do sporu dwóch szeregowych autorów z obu stron wciąga się solidne siły. Uważałbym, że ustawę o państwowym języku litewskim powinniśmy realizować konsekwentnie, ale spokojnie, nie ulegając namiętnościom. W przeciwnym razie w objęcia ekstremistów popchniemy również tych ludzi narodowości polskiej, którzy ustawę powitali rozsądnie. Nie uważam za etyczne również takiego rodzaju zarzutów, że wasi przodkowie byli Litwinami,

a wy — jak nie wstyd — nazywacie się Polakami. W ten sposób nie wraca się ludzi na inną narodowość. Uważam, że będzie musiało upłynąć o wiele więcej niż dwa lata, zanim Polacy litewscy bez wrogiego nastawienia będą mówili po litewsku, a może nawet uznają swe pochodzenie litewskie. Na nieobiektywne antykiły „Czerwonego Sztandaru” należy odpowiedzieć w sposób uargumentowany i kulturalny. Prasy mamy pod dostatkiem”.

— To jeszcze nie wszystko! O, proszę bardzo. Oto kolejny protest, tym razem podpisany przez Radę Koordynacyjną Organizacji Młodzieżowych Litwy...

Czytam m. in.: „5. Ocenic podżegawczą postawę redakcji gazety „Czerwony Sztandar” w kwestii narodowościowej. Zacząć ją wydawać w językach litewskim, polskim i białoruskim. 6. Ponieważ Litwa nie jest państwem federacyjnym, nie mogą być proklamowane w niej okręgi autonomiczne. Dlatego też mające miejsce „proklamowanie autonomii” uważamy za akt bezprawia, skierowany przeciwko Republice Litewskiej i podżegający niezgodę narodowościową. Uważamy, że należy ukarać osoby, które inspirowały te wydarzenia. Życiem rejonów nie powinny zarządzać osoby wrogo usposobione i działające przeciwko Litwie oraz jej ustawom... Swoją drogą oświadczamy, że ze wszech miar będziemy popierali odrodzenie narodowe Litwy Południowo-Wschodniej. Naszym celem jest wolność duchowa i kulturalna wszystkich narodowości. Apelujemy o poparcie mieszkańców Litwy Południowo-Wschodniej, o zespolenie się i zrzeszenie w imię wspólnego ideału — w imię naszej Ojczyzny Litwy!”

— A to następne „kwiatki”. List podpisany przez poetę Marcelijusa Martinaitisa kierownika katedry filologii bałtyckiej Uniwersytetu Wileńskiego, prof. Zigmasa Zinkiewiczusa, i pracownika Instytutu Języka i Literatury Litewskiej, dr. filologii Albertasa Zalatoriusa: „Po II wojnie nadal trwała okrutna stalinowska polonizacja. Około 1950 roku na Wileńszczyźnie rozwinięto ostrą agitację przeciwko Litwinom, stosowano nawet brutalne środki administracyjne. Zamykano szkoły litewskie i na ich miejsce zaczęto otwierać polskie... Spotykane często w artykułach „Czerwonego Sztandaru” twierdzenia, że Polacy na Ziemi Wileńskiej osiadli są już »od wieków«, przeznaczone są chyba do wprowadzenia w błąd mało wykształconych ludzi... To niechlubne wprowadzać w błąd ludzi, jak to czynił doцент katedry filozofii Wileńskiego Państwowego Instytutu Pedagogicznego Iwan Tichonowicz (Jan Ciechanowicz), który w swych artykułach i na zebraniach głosi, że Wileńszczyzna jest ziemią, na której od wieków mieszkają Polacy. Ozas, aby wszyscy sobie uświadomili, że Litwini nie mają nic przeciwko Polakom, podobnie jak i innym narodom, ale nie mogą i nie będą mogli tolerować polonizowania Litwy. Potępiłi oni to w przeszłości, nie pogodzą się z tym również obecnie”.

Ważkie pytania stawia niejaki Izidorius Szimielionis w piśmie „Kalba Wilnius”: „Więc naprawdę, gdzie są ci Polacy na Wileńszczyźnie, dlaczego większość ich dzieci nie uczy się, nie rozmawia i nie czyta po polsku? Prze-

cież w Związku Radzieckim już dawno nie ma analfabetów. I kto ich krzywdzi? Skąd pochodzi nienawiść ekstremistów do Litwinów, którzy stworzyli wszystkie warunki do rozwijania narodowej świadomości, oświaty i kultury? Odpowiedź jest jedna: większość rzekomych Polaków — to wynarodowieni Litwini-katolicy. Tym zaś od bardzo dawnych czasów mówiono: skoro jesteś katolikiem, to musisz uważać się za Polaka. Więc o co ta cała wrzawa?”

— Wystarczy? Nie? To proszę bardzo! Na spotkaniu zorganizowanym przez „Vilniji” w Wileńskim Państwowym Instytucie Pedagogicznym, tenże Izidorius Szimielionis, wielce zasłużony emerytowany dziennikarz, posunął się do tego, iż opowiedział o przewodniczącej kołchozu im. XXV Zjazdu partii w rejonie wareńskim, Łucji Zybriskiej, która jakoby karała grzywną kołchoźników za rozmawianie po litewsku. Wyjaśniliśmy, i to nie byle gdzie, a w Wareńskim Rejonowym Komitecie Partii: ani takiego kołchozu, ani przewodniczącej o takim nazwisku w rejonie nie ma i nigdy nie było!

— Trudno zliczyć oskarżenia o polonizację Litwinów. Są nawet pretensje do PRL, że odziedziczyła nawyki do Wileńszczyzny po „przedwojennej pańskiej Polsce”! Nie wiadomo, kto polonizuje Litwinów, skoro i władze oświatowe, i partyjno-rządowe na Litwie były i są litewskie...

— Ambicję Litwinów rani fakt, że „Czerwony Sztandar” występuje w obronie godności Polaków. A gdzie Polacy mają szukać otuchy tutaj, u kogo? Czy człowiek, który się broni, powinien przeproszać za to, że się broni?!

— Albo publikacja niejakiego Wincasa Martinkenasa, który kiedyś uczył Polaków historii Polski, i to rzetelnie uczył. A ostatnio przeszedł dziwną metamorfozę, o czym świadczy jego elaborat w gazecie „Tarybinis Mokytojas” z 23 września 1988: „Tworząc szkoły polskie, agitowano za Polską. Białopolacy, którzy tu zostali i przedostali się do władzy, rozpowszechniali pogłoski, że znowu będzie tu Polska, że język litewski będzie niepotrzebny itp.”.

Długo trwały oskarżenia, pełne żalu i goryczy. A potem z sali konferencyjnej przeniosłem się jeszcze do redakcyjnego archiwum, by uważnie przestudiować listy czytelników, konsekwentnie publikowane w dwóch rubrykach: „Pogłębiajmy wzajemne poznanie się i wzajemną życzliwość” oraz „Kto i po co sieje wiatr?”. Widać Polaków twardo mówiących: „Tutaj nasza ziemia, tutaj nasz dom. Nie zubożajmy siebie napaściami, widmami przeszłości...” A na to Litwini: „O co ta cała wrzawa? O co? Chodzi o zwykłą uczciwość. Dlaczego nam odmawiacie polskości, a naszym braciom z PRL złośliwie przgadujecie, po otwarciu granic: »Oto Polacy znów jadą podbijać Wilno!«”.

Pisze Honorata Klimawiczienė z Kowna: „Czy naprawdę gazeta „Tarybinis Mokytojas” nie ma ważniejszych spraw, jak szerzenie propagandy antypolskiej piórem Wincasa Martinkenasa? Biada, oj biada uczniom, którzy mieli nauczyciela historii dopuszczającego się takich kłamstw: »Mieszkańcy sterroryzowani przez burżuazyjną Armię Krajową i wszechmocnego dyktatora Stalina«. Cóż to za »Białopolacy«, którzy dostali się do władzy po 1945 roku, czy to nie z grobów powstałi ci poległi? Dlaczego my, Polacy, mamy udowadniać, że jesteśmy Polakami? Choćby największe zasługi w przeszłości nie dają nikomu prawa do publicznych wystąpień, kolidujących, jeżeli nie z prawem, to ze zwykłą ludzką przyzwoistością...”

I dalej: „Wileńszczyzna ma swoją szczególną specyfikę i nie warto jej przerabiać na inną. Dla jej rdzennych mieszkańców ona jest najlepszą, jedyłą. Jej jest potrzebny dynamiczny rozwój ekonomiczny i duchowy z zachowaniem tych wartości, które lud gromadził wiekami. Bez niepotrzebnych nadeptywania na odciski narodowościowe... Mnie jednakowo za serce chwytą i łzę wzruszenia wyciska i »Lietuva brangi, mano tėvyne« Maironisa, i »Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie! Mniekiewicz, i »Lublu nasz kraj, staronku hetu« K. Bujlo. Od tego biedniejszy duchowo nie staję i nie czuję się upośledzony...”

(Koniec odcinka 2. — cdn.)



Fot. Waldemar Stępień

P OŁOŻONY 100 metrów od meczetu, na pagórku — mizar. Dzień się wyraźnie na dwie części: starą, zapuszczoną, porośnię krzewami, przypominającą omentarz w Lebidzewie, i nową, wyraźnie wzorującą się na katolicyzmie (typowe grobowce z lastyryka, zdjęcia zmarłych itp.). Pomniki z początku wieku (w przeważającej części obeliski, mogiła okolona tynkowanym murem) mają jeszcze napisy po przeciwnej stronie; współczesne — podobnie jak katolickie, od mogiły.

Wracamy do meczetu, zahajając, że nie trafiliśmy na muzeum mańskie święto. W Kruszyńskich mieszkał Samuel Murza-Krzeczowski, który miał uratować Janowi III Sobieskiemu życie w bitwie pod Parkanami w 1683 roku. Historycy spierają się co do tego faktu, ale prawdą jest, że Krzeczowski posiadał nie tylko część ziemi w tej wiosce, ale ponadto dwie inne wsie w pobliżu: Łuzany i Nietupę. Król musiał mu więc być za coś wdzięczny, skoro obdarował tak chójnie. Faktem też jest, że ciągnąc na sejm grodzieński, odwiedził w Kruszyńskich Krzeczowskiego, którego potomkowie do połowy XIX wieku byli w posiadaniu pałacu po owych odwiedzinach, m.in. stolca, na którym Jan III siedział przy obiedzie.

Ostatnie zdjęcia i... tym razem mój kompan nawet nie chce słyszeć o Bohonikach, jest zdecydowany wracać sam. Trasa zamknęła się — mówiąc brzydko — ideologicznie: przejechaliśmy teren zamieszkały przez Ukraińców, Białorusinów i Tatarów, ale czuję niedosyt — zabrakło Krynek (z Kruszyńskich na wyciągnięcie ręki), skąd pochodzi i gdzie bywa Sokrat Janowicz, ceniony białoruski poeta i Bohonik — ostatnią wyspę tatarskich osiedleńców. Żeby oddać całą etniczną i kulturową urodę ziem rozpościerających się wzdłuż wschodniej granicy, należałoby sięgnąć do Sejn i Wizajny, gdzie Litwini. Czujemy w nogach tych kilkadziesiąt przekreślonych kilometrów, nie ma potrzeby fonsować się nadmiernie, wrócimy za rok.

Jedziemy tą samą drogą do „granitówki” i dalej do najbliższej stacji, nie bez błędzenia w lesie. Mało wiemy w Polsce o naszej ekspansji na wschód, o stosunku Polaków do Białorusinów, aż wstyd. Jak musieliśmy zapisać się w ich pamięci, skoro w XVIII-wiecznej „Comedyi” Kajetana Maruszewskiego, pisanej w białoruskim, jeden tylko diabeł wygłasza swoje kwestie po polsku. Albo zdanie przytaczane przez Janowicza w „Białorusi”, którym matka straszyla niegrzeczne dzieci: „Cyt, cyt, pan ciabie zjeść”. Pan, czyli Polak. Mimo to, nie można mówić o wrogu nastawieniu do nas, przeciwnie w bezpośrednich kontaktach czujemy ciepło, serdeczność. Jaka szkoda, że przed wojną stać nas było tylko na demonstrację siły, jakby rozbiory nie niosły żadnej nauki. To jest właśnie prowincjonalizm. Żadne pocieszenie, że inni robią to samo, np. Zydziszaszliwie małretowani ledwie pięćdziesiąt lat temu, wobec Palestyńczyków. Idąc dalej tym tropem, należałoby zdyskredytować wszystkie państwa kolonialne, ale one przecież same zdyskredytowały się... Rozmyślając w pociągu do Białegostoku czułem wyraźnego mroźnego kaca.

Ponad dwustutysięczne miasto, parujące zmierzchem; żaden z nas przedtem tu nie był. Wsiadamy na rowery i jedziemy szukać „Wensalu Podlaskiego”. Architektura swojska: barok, klasycyzm, secesja, co sprawia przyjemność — lubię miasta z wpisaniem w ulice rodowodem. Przed klasztorem Sióstr Miłosierdzia — namacalny dowód dowcipu przodków: przypięta do kościółka-kruszyny olbrzymia, przytłaczająca go dziesięciokrotnie bryła prokatedry (neogotycka, z lat 1900—1905), która miała być przybudówką, bo na budowę takiej car dał zezwolenie. Dziś podobnie uśmiechamy się, oglądając kościółki w diecezji przemyskiej, zbudowane, nie tak dawno przecież, w ciągu jednej nocy, w karkurydzy. Kościółki, które legalizowały całe wsie, wartujące dni i noce z widłami, cepami, siekierami. Historia nie tylko pławi się we krwi, lubi się i pościć. I podroczyć: ci, którzy obalają przemoc, po latach stosują dokładnie te same chwytły, na co więc liczą?

Lewo skrzydło pałacu Branickich w rusztowaniach, prawie także, tyle, że po wewnętrznej stronie, od dziedzińca. Spokój, po który jechałem, nie nadejdzie, nie ma nastroju. Kluczyny po parku.

ogładając założenia systemu wodnego — musiało to być coś niezwykłego. Woda spuszczone, puste niecki straszą. Park, projektowany przez twórcę ogrodów wersalskich, inż. Lenotre'a, zachował chyba tylko aleję posągów. Niewiele. Siadamy przy prawym skrzydle, rozstrząsając: do czego jednemu człowiekowi potrzebne było potężne gmaszysko. Terlecki nie ma wątpliwości:

— To była stolica czegoś w rodzaju księstwa, regionu, centrum administracyjne, wojskowe i kulturalne. Wszystkie nitki życia dużej polaci ziem tu się zbierały — nie mogło być inaczej. Pałac pełnił funkcję nie tylko rezydencji hetmańskiej, ale i czegoś w rodzaju domu kultury, opery, teatru, muzeum, domu pracy twórczej. Ze dla nielicznych?... Jeżeli byłeś zdolny i uparty, potrafiłeś zainteresować swoimi talentami, mogłeś liczyć na opiekę. Czy dziś jest inaczej? Jest, jak było.

Siedzimy w skupieniu, pojadając pajdy krojone naokoło bochenka, smarowane serkiem topionym. Wszystko świadczy o tym, że całe architektoniczne i krajobrazowe założenie pozostawione samemu sobie. Lecz pałac jakby nie dawał za wygraną: coś się tu dzieje, wystarczy popatrzeć na piękną bryłę budynku i otaczające go dużej klasy rzeźby. Jakby miał duszę...

Pozostała godzina do odjazdu pociągu, trzeba wracać. Kolej sprzedawała bilety na przewóz rowerów, ale wagonu bagażowego oczywiście nie ma. Próbuje przy postawym. Człowiek boi się donosu i obcięcia premii... Konduktorzy w liczbie trzech popatrują niechętnie, wreszcie „wyrażają zgodę”. Lokujemy ciężkie, objuczone wehikuły na platformie ostatniego wagonu. Troczymy so-

Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

lidnie, ludzie muszą mieć przejście do WC i drzwi, my musimy mieć sprzęt na oku.

W Siedlcach zmiana lokomotywy, odtąd tył pociągu będzie przodem. Nic nam do tego. Ale kierownik pociągu z podgatunku „swolocz wszechwładna” wyjeżdża z pyskiem, że rowery przeszkadzają. W czym — na razie nie wiem. Po 15 minutach sytuacji patowej — on krzyczy, my nie przenosimy, bo nie mamy gdzie. Na aktualnie ostatnim pomoście w pociągu rozgościł się olbrzym, dopiero co przemycony z ZSRR telewizor. Ostrzymujemy ostrzeżenie:

— Jeżeli pociąg spóźni się, zapłacicie po siedem tysięcy kary.

Pociąg stoi i na peronowym zegarze w Siedlcach widać bez naciągania: faktycznie się spóźnia. Choć przyjechał 20 minut przed czasem.

— Przenieście na drugą platformę w tym samym wagonie — rzecze kierownik i ulatnia się po angielsku.

Tym razem wagon będzie odcięty od pozostałych, rowery można przymocować tylko do uchwytych przesuwanych drzwi. Bierzymy we dwóch za koła z całą kilkadziesiąt kilometrów resztą i pchamy się wąskim korytarzem, taranując wszystko, co nie uciekło. Wracając po drugi rower, zastajemy osaczeni przez mundurowych. Chłopaki z SOK-u wściekłe zajadły, dobrze podpuszczone, chcą tylko dowodów albo wyrzucą nas na peron. Pierwszy odruch bezwarunkowy:

— Nie dam! Nie pójde!

— Spokojnie, spokojnie — powiada mój niebieskokojny opiekun i wyciąga brązową ceratę:

— Proszę.

Uznaję sokiści spuszczają zadęcie, swego dopięli. Wykorzystujemy chwilę ciszy i wyjaśniamy sytuację. Kiwiają głowami niechętnie, popatrując na kierownika, konduktory zagubili się, im też nic do tego. Zaintrygowany stojącym pociągiem przybiega szef sokistów, podwójny sierżant, tylko odwrócony.

— Co jest? — szarżuje z miejsca.

Mówimy.

— Co pan robi? — pyta retorycznie wszechwładnego. — Pan jest gospodarzem i nie umie sobie poradzić? Zrobię motatki służbową.

Swojego dowodu nie zdążyłem przejąć, łapa kierownika jest szybsza. Patrzę z wyrzutem na sokistę. Jedziemy. Taszczymy drugi rower, znowu troczenie, przekraczanie kierownic. Biorę kartkę, długopis, gnęcznie przedstawiam się kierownikowi i proszę o to samo, ale facet tym razem jest o wiele bardziej powściągliwy. Wszystkie podkłady z Siedlec do Lublina nie zdołały wytrząść zapieklności. W Lublinie biorę prysznic, zjadam śniadanie i smaruję skargę na trzy strony maszynopisu.

DZIEŃ XIII

Po dniu odpoczynku w Lublinie przerycamy się koleją do Rejowca Fabrycznego, skąd kilkanaście minut jazdy do dawnych włości panami-kolajowych — Rejowca. W centrum miasteczka, stanowiącym ni to park, ni skwer — ruiny okazałej XVIII-wiecznej cerkwi uniękiej. Przy wjeździe do Krasnegostawu, na uboczu, mały, bardzo ładny XIX-wieczny pałacyk Oksolińskich, tworzący zamknięty ciąg z ornamentem. Mamy szczęście do rusztowań, ten też w remoncie. Próbuje od-

czytać dawne założenie parkowe, bezskutecznie, zdezastowane.

Przed Krasnymstawem — Krupe, posiadłość Pawła Orzechowskiego, zaufanego współpracownika wielkiego kanclerza z Zamościa. Ruiny wyniosłego, renesansowego pałacium dotykają dworskiego parku, w którym drzewie przysadzisty dwór Rejów (osiemnastowieczny, na planie kwadratu, dach łamany, kryty gontem, wejście zdobione interesującym, drewnianym portykiem), notabene również odnawiany — sporo musiało zniszczyć w ostatnim czasie, skoro tak gorliwie ogacamy zabytliki rusztowaniami. (Historia dewastacji obiektów, które zdarzyło się nam oglądać, byłaby również interesująca, niestety nie dla tych, których sumienie akurat powinna poruszyć; mają „ważniejsze” na głowie — z czystym sumieniem skreśliam tytuł „Rusztowania” z pomysłów do napisania).

Paweł Orzechowski, podkomorzy chełmski, starosta surażski, zbudował wielkopańską, obronną rezydencję w ostatnich latach XVI wieku, drugi etap prac przypadł na lata 1604—1608. Wewnątrz regularnego kwadratu murów z bastcjami na narożach (zapewne murator kopiował rozwiązania obronne bliższego Zamościa) znajduje się wewnętrzna fosa, odgradzająca właściwe pałacium od małego dziedzińca. A więc rodzaj zamku z podgroziem, w którym mogła chronić się okoliczna ludność w razie najazdu. O klasie architektonicznej budowli świadczą do dziś resztki attyki i piękne sgraffite, były i inne ozdoby, m.in. piece wykładane dekoracyjnymi kafkami. Szperając wśród ruin, znajdujemy kolumnę z piaskowca, wpojona w mur pierwszego piętra, i po raz

trzeci w tej podróży — cegłę ze śladami pałców (tym razem zaprawa tkwi w wyłobieniach, nie ma wątpliwości — to pałcówka, nie żadna cegła ozdoba do układania fryzów). Oglądając mury, które jeszcze teraz robią wrażenie, nie mogę oprzeć się pokusie porównań: architektoniczne cacko wybudował w krótkim czasie tylko współpracownik hetmana i kanclerza; gdyby dzisiaj któryś z wojewodów chciał uczynić coś podobnego, musiałby być i pracować ze 300 lat, i chyba też by nie starczyło. Rzuciłbym wszystkie bloki, centralne ogrzewania i kanalizację wodę by przynieśli, w piecu kazalibyśmy napalić, i to w jakim piecu...

Miejsce to ma swoją anegdotę literacką. Tutaj mianowicie słynny Sadyk Pasha w swojej powieści o Janie Czarnieckim kaszał baniaci Samuelowi Zborowskiemu pobudować kasztel o siedmiu wieżach, kąpiący od przepychu, w którym m.in. rozgrywa się akcja powieści. Oczywiście to fikcja literacka, a prawdą jest jedynie to, że Zborowski występował nie tylko przeciw królowi, ale i Janowi Zamojskiemu, za co m.in. — po bezprawnym powrocie z baniacji — został pojmany i ścięty, nie bez udziału kanclerza.

W dobrych nastrojach, mimo przebitej gumy w „Alice” Terleckiego, wjeżdżamy do Krasnegostawu z zamiarem odetchnięcia u znajomego poety, współzałożyciela poetyckiej grupy „Słowo”, funkcjonującej od niedawna w tym mieście — Jana Henryka Cichosza.

Przy Cichoszu w krótkich majtkach kosi trawnik. Przy studni stoi pełne wiadro, po krótkim powitaniu Marek mówi:

— Lej.

Biorę wiadro i leję metodą Bohuna-Kmicieja (na leb). Cichosz patrzy nie tyle niedowierzająco, co ze strachem.

— Teraz ja nadstawiam kark.

Woda nagrzana słońcem, przyjemnie „dświeża skóre”.

— No i zahartowałeś się! — Terlecki śmieje się z satysfakcją.

Krótki odpoczynek przedłuża się: dwa kopiaste talerze kanapek poszły z furkotem, rozglądamy się, co by jeszcze zjeść. Zna Henia przypomina sobie, że została zupa z obiadu, oczywiście zgadzamy się. Rozleniwieni winem opowiadamy, przeskakując z wydarzenia na wydarzenie.

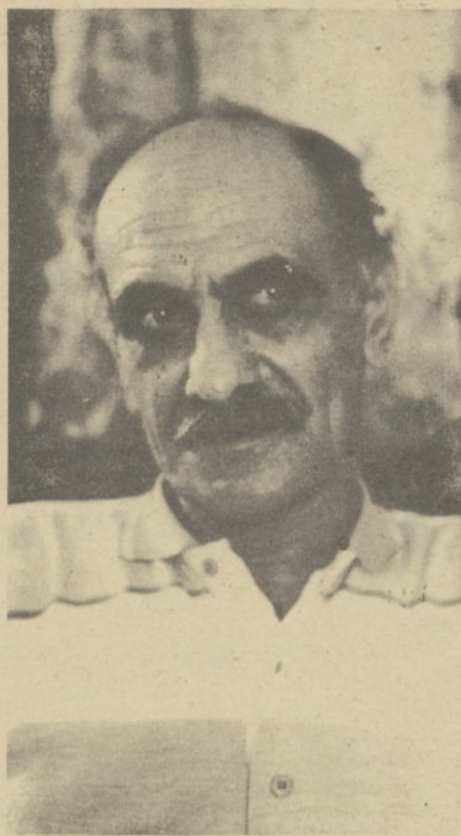
— Pojedziemy koleją? — pytam.

— Chyba tak — odpowiada Marek i rozleniwiamy się jeszcze bardziej.

Po kilku dniach otrzymuję rezonansowe pismo z kolei: wschodnia DOKP „odstępuje do zalawienia skamgę obywatela”. W dwa tygodnie później jest następne, tym razem z warszawskiej DOKP: „po przeprowadzeniu dochodzenia służbowego uznano winnym kierownika pociągu, którego za nietaktowne zachowanie się odsunęto od obsługi pociągów pasażerskich i przeniesiono do obsługi pociągów towarowych [...] Jednocześnie przepraszamy...” Więc z chamstwem można wygrać. Ale czy to właściwa pointa tej opowieści? Zastanawiam się retorycznie, ponieważ wiem, że przyjdzie zima, za nią wiosna i znowu poczuję w kościach łamanie kołem i atawistyczne, odziedziczone zapewne po przodkach zakładających tzw. csady wydnowe, pragnienie prakonywania przestrzeni, szukania...

Właśnie: co takiego zgubiliśmy, że szukamy tak łapczywie?

Rozmowa z Krikorem Ludwigiem Partamianem, ormiańskim artystą zamieszkałym w Bułgarii



Fot. Waldemar Piasecki

— Skąd się pan znalazł w Bułgarii?
— Urodziłem się w Warnie. Jest to najprostsza odpowiedź na tak postawione pytanie.

— Bułgaria nie jest jednak typowym dla Ormian miejscem urodzin i zamieszkania.

— O, podobnie jak wiele innych, gdzie się rodzimy, żyjemy i umieramy, a które leżą z dala od Araratu, Erewania. Naszej ojczyzny, naszego ukochanego Hajastanu, jak brzmi po armeńsku nazwa Armenii.

— Ormian spotykałem w bardzo wielu miejscach, na przykład w Singapurze, Syrii, Libanie, Kanadzie, USA, Francji, Turcji. Przypominają w tym rozproszeniu nas, Polaków.

— To jest trafne porównanie. W świecie żyje około 6,5 miliona Ormian, z tego ponad trzy miliony w diasporze. Największym skupiskiem Ormian poza Armenią są Stany Zjednoczone. Tu jest nas najwięcej w Kalifornii, a także w Nowym Jorku, Chicago, Bostonie, Detroit, New Jersey. W USA mieszka ponad dwa miliony Ormian, tu również nasza grupa etniczna jest najsilniejsza. Wielu Ormian pełni poważne funkcje polityczne. Gubernator Kalifornii jest Ormianinem, również Ormianką jest synowa prezydenta Buscha (stąd właśnie obecność syna prezydenta w akcji ratowniczej po trzęsieniu ziemi w Armenii). Liczymy się w sferach biznesu, bankowości, handlu, medycynie, nauce. Poważne grupy żyją w Kanadzie (przede wszystkim Montreal, a także Toronto, Vancouver), Francji (głównie Marsylia oraz Paryż), Anglii (Londyn), Australii (Sydney, Melbourne), Egipcie (Aleksandria, Kair), Syrii (głównie Aleppo), Turcji, Iranie, Libanie (Bejrut, Antilias), w Grecji (Ateny, Saloniki) i na Cyprze (Nikozyja), a także w Ameryce Południowej, głównie w Argentynie. Wszędzie, gdzie żyją Ormianie, ich standard życiowy, społeczny i zawodowy jest znacznie wyższy od przeciętnego. Swego rodzaju symbolem powodzenia i sukcesu jest Alec Manougian z Kanady, multimilioner i potentat przemysłowy.

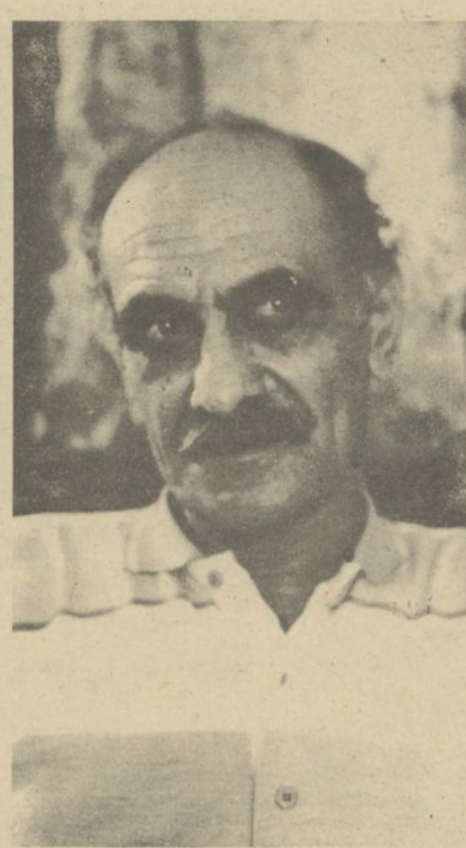
— W czym pan widzi źródło sukcesów i powodzenia waszej diaspory?

— Wysoka świadomość narodowa, płynąca z poczucia tradycji, historii, języka.

— Proszę się nie obrazić, ale tak można by powiedzieć o paru innych grupach etnicznych. Czy można by to rozszyfrować nieco dokładniej?

— Owszem, ale to wymaga sięgnięcia do historii naszego narodu. Jego początek sięga VII wieku przed Chrystusem, kiedy na tereny geograficznie odpowiadające dziś Armenii przybyli plemiona Hajów, a miesząc się z tamtejszymi ludami, dały początek narodowości ormiańskiej. Stąd wywodzi się także tradycja nazwy Hajastan. Nazwa: Armenia nie jest naszą własną; ma pochodzenie perskie. Od połowy VI w. p.n.e. Armenia była prowincją perską, zachowując jednak pewną niezależność, a od 331 r. p.n.e. przeszła pod panowanie Aleksandra Wielkiego, a potem Seleucydów, co trwało do II wieku. Wtedy Armenia rozpadła się na Armenię Wielką i Armenię Małą nad Morzem Czarnym. Ta druga szybko została wchłonięta przez państwo rzymskie, pierwsza natomiast doszła do dużego znaczenia.

Wraz z odejściem Turków zaznaczyły się wyraźne wpływy chrześcijaństwa, co jest uwidocznione w przekazach historycznych. Tradycja natomiast mówi, że chrześcijaństwo zawdzięcza Armenia misji trzech uczniów Chrystusa, którzy dotarli tu już w 93 r. n.e. W 300 roku Armenia stała się za sprawą św. Grzegorza Oświeciciela pierwszym krajem w historii świata, który chrześcijaństwo uczynił religią państwową. To wywołało wroga i nieprzejednaną reakcję Persji, która ostatecznie doprowadziła do upadku państwa i rozbrania go przez Persów i państwo wschodniorzymskie w 387 roku. Jednak procesów tożsamościowych nie sposób było już powstrzymać. W IV wieku Mes-



rop Mesztec stworzył pismo armeńskie, nasz alfabet. Została przełożona i napisana nim Biblia. Wkrótce też zaczęło powstawać nasze piśmiennictwo narodowe.

Praktycznie więc do VII wieku, dzięki pismu i piśmiennictwu oraz religii, została ukształtowana nasza tożsamość narodowa. Już wtedy naród nasz był wierny Krzyżowi i Literze. Nauka wiary i słowa były naczelnymi powinnościami. Kiedy zatem w VIII wieku Wielką Armenię zagarnęli Arabowie, a Małą — Bizancjum, były to fakty co najwyżej polityczne. Nie rodziły wynarodowienia czy wykorzenia wiary, bo to po prostu było niemożliwe. Zresztą zaborcy korzystali z licznych talentów Ormian, pozostawiając pewien zakres autonomii. W latach 885—1080 mieliśmy nawet swoje królestwo, rządzone przez dynastię Bagratydów, która doprowadziła do rozwoju gospodarczego i kulturalnego Armenii.

W końcu XI wieku Armenia została najechana przez Turków seldżuckich, którzy, w odróżnieniu od poprzednich zaborców, nie mieli zamiaru uwzględnienia integralności narodu ormiańskiego, a jedynie siali bezmyślny, okrutny terror, co doprowadziło do masowego uchodźstwa. Ormianie utworzyli wówczas nad Morzem Śródziemnym swoje niewielkie państwo, egzystujące do 1375 roku. Kiedy to noddite zostało przez Mameluków. Tereny etniczne były z kolei nustoszone przez Mongołów, a pod koniec XIV wieku zagarnięte przez Turków osmańskich, co wywołało nową kolejną falę emigracji; głównie na Ruś.

Następne trzy wieki upłynęły pod znakiem wydzierania sobie Armenii i dzielenia jej na rozmaite sposoby przez Persję i Turcję. Ormianie byli masowo przesiedlani w głąb Persji, skąd przenikali do Indii i na Daleki Wschód. Natomiast Turcy, siejąc terror, doprowadzili do upadku kultury i ruiny gospodarczej. Ruchy wolnościowe były krwawo tłumione.

W XIX wieku pojawił się nowy chętny do grabienia Armenii. W 1828 roku Rosja pokonała w wojnie Persję i zagarnęła wschodnią Armenię, a pół wieku później, po pokonaniu Turcji, północną część kraju. Ta niewola była jednak łagodniejsza (m.in. ze względów religijnych) i Ormianie z Turcji i Persji zaczęli przybywać na te tereny. Na pozostałych żyło się jednak bardzo źle. Okupant turecki, zamiast przyznać autonomię Ormianom

do czego obligowały go umowy międzynarodowe), dokonał w 1896 roku rzezi naszego narodu. Genocyd powtórzyli Turcy 24 kwietnia 1915 roku, mordując w ciągu dnia... półtora miliona (!!!) Ormian. Potem przyszły masowe deportacje pozostałych przy życiu. Turcy zostali wyparci z Armenii ostatecznie w 1920 roku. Od 1936 roku Armenia jest samodzielną republiką związkową ZSRR. Ten stan trwa do dziś.

Proszę teraz zauważyć, że przez cały ten czas, przez półtora tysiąca lat świadomej tożsamości narodowej i kulturowej, gdzie niezależności państwowej mieliśmy ledwie pięćset lat, przez te wieki, gdy nas przepędzano, gnębiono, mordowano, rzucano w obce nam środowiska, żywiły narodowe i warunki geograficzne — my jednak przetrwaliśmy. Pozostawaliśmy wierni zasadzie, że można dać się połknąć, ale strawić — nigdy. No i jesteśmy! Takich faktów historycznych, aby narody przetrwały wbrew wszelkiej „logice historii”, jest niezwykle mało, a odwrotnych, gdy dobrze zorganizowane państwa padały i wówczas ginął naród — wiele.

Więc kiedy ja powiadam, że nas, Ormian, ocaliła wiara, język i tradycja, to być może mówię o truizmach. Ale, na Boga, jak my te „truizmy” mamy opłacone, jaka jest ich cena...

— Czy jest możliwe, aby Ormianin szkodził Innemu Ormianinowi — powiedzmy — w Montrealu czy Bejrucie? Aby na niego donosił do „lokalnych

władz, denuncjował, oszukiwał, wyzykiwał, poniżał?

— Taki Ormianin, jeżeli założymy jego hipotetyczne istnienie, szybko znalazłby się poza społecznością. Praktycznie oznaczałoby to jego śmierć społeczną w społeczności Ormian.

— Czy jest prawdą, że Ormianie potrafią długo pamiętać wyrządzone krzywdy i równie długo pamiętać dobre uczynki, gesty przyjaźni?

— Pamięć, dobra ormiańska pamięć, jest podstawą naszej egzystencji. Bez niej nie byłoby nas.

— Czy — zapytajmy inaczej — jest możliwe wybaczenie narodowi tureckiemu za doznane tragedie, choć dawne?

— To zależy od tego, co ma oznaczać wybaczenie. Jeżeli wybaczenie miałoby oznaczać zapomnienie, to — nigdy czegoś takiego nie będzie. Doświadczając historyczne z Turkami ukształtowały naszą psychikę narodową w sposób tak trwały, że być może nieodwracalny...

— Jaki macie stosunek do Polaków?

— Zdecydowanie pozytywny! Mamy wiele wspólnego w narodowej historii. Były też punkty stykowe. Osadnictwo ormiańskie w Polsce zawsze napotykało życzliwość, zrozumienie i przyjaźń. Są dowody na to, że Ormianie brali czynny udział w finansowaniu zaciągu grunwaldzkiego. Ormianie nigdzie nie asymilowali się tak łatwo jak w Polsce. Miało to odbicie nie tylko w sferze kulturowej, językowej i społecznej, ale także w religijnej. W XVII wieku Ormianie w Polsce zawarli unię z Rzymem, a do 1939 roku mieli własne arcybiskupstwo z siedzibą we Lwowie.

Jeżeli miałbym wymienić cechy, które zbliżają Polaków i Ormian, to byłoby to na pewno: patriotyzm za każdą cenę, odwaga, wiara mimo wszystko i gościnność niepojęta dla innych nacji.

— Czy mogliśmy wrócić do pańskiej biografii?

— Proszę bardzo. Urodziłem się w 1937 roku w Warnie. Tu także urodził się mój ojciec. Dziadek do pogromu w 1896 roku mieszkał w Istambule, gdzie był kupcem. Mama pochodzi z kolei z Ormian, którzy po pogromie osiedli w Rumunii. Ojciec miał przed wojną w Warnie fabrykę pieców. Powodowało się nam bardzo dobrze, prowadziliśmy rozległe interesy w całej Bułgarii. Kiedy skończyłem siedem lat, ojciec gonił mnie do pracy w fabryce, abym poznał robotę we wszystkich oddziałach. Chodziło o to, żebym znalazł się na specyfice produkcji tak jak robotnicy. Wszystko to — z zamiarem przygotowa-

nia mnie do roli sukcesora. Po zmianie ustroju w Bułgarii fabrykę znacjonalizowano, a ojciec musiał nieco przeorientować swoje plany...

Po ukończeniu szkoły ormiańskiej poszedłem do technikum elektrotechnicznego. Potem do Akademii Sztuk Pięknych w Sofii, na malarstwo... Niestety, ojciec się temu sprzeciwił. Ludwigi Partamian, stary pragmatyk, wykoncytował, że z malarstwa nie da się żyć, no i przestał finansować moje studia. Próbowałem wytrzymać sam, malując portrety zamawiane przez ludzi, przepisywałem nuty. W końcu trafiłem na grafikę użytkową i zostałem designerem. Robiłem także wiele innych rzeczy: grałem na pianinie, zajmowałem się fotografią artystyczną, uczyłem się śpiewu... Ostatecznie jednak pracuję jako projektant. Życiorys mam dość burzliwy. Prywatnie wiele od życia wycierpiałem. Dotyczy to zarówno zdrowia, jak też sytuacji rodzinnej. Jestem po dwóch rozwodach, żyję samotnie i tę się nie zmienię.

— Od kilkunastu lat zajmuje się pan także pisaniem. Opowiadania oceniane są wysoko; są tłumaczone m.in. w Polsce. Jak trafił pan na tę drogę?

— W życiu każdego przychodzi czas podsumowań, każdy chce jakoś wyrazić to, co przeżył, podzielić się tym z innymi. U mnie akurat poszło to w kierunku literatury. Można zapytać: dlaczego tak późno? Dlaczego zacząłem pisać niewiele przed czterdziestką? Być może okaże się mało oryginalny, ale u-

ważam, że pisanie prozy wymaga życiowego bagażu. Do wyjątków należy wielka literatura stworzona przez powieściopisarzy w młodym wieku. Młodość sprzyja raczej poezji. Tu, kiedy jest się młodym i myśli — jak mówią od wieków Ormianie — że „morze sięga nam do kolan”, łatwiej o ekspresję emocjonalną, o żar uczuć. Trudniej zaś o refleksję. Z prozą można się mierzyć, gdy się dotknęło prawdy życiowej.

— Pańskie opowiadania są pesymistyczne, przygnębiające. Jest równocześnie w nich coś z pogodzenia się z losem, coś z akceptacji tragizmu życia, dostrzegania w nim nawet pewnej estetyki, harmonii, logiki...

— Czy tak nie jest? Większość życia jest przygniatająca, pesymistyczna subiektywnie. Obiektywnie — nawet w tragediach można poszukiwać doznań estetycznych.

— W opowiadaniu „Wierność”, przetłumaczonym na polski, ples usiłuje powstrzymać swego pana jadącego na koniu, szczeka, skacze, wreszcie usiłuje ugrzyść. Męczyzna sięga po strzelbę i strzela do swego przyjaciela, sądząc, że jest wściekły. Ranne zwierzę ucieka. Właściciel podąża za nim i wreszcie znajduje psa zdychającego w pobliżu trzosa ze złotem, który wypadł jeźdźcowi w galopie. Ples chciał zwrócić swemu panu uwagę na ten fakt, nie potrafił jednak mówić i komunikował to, jak potrafił. Komunikat został odczytany opacznie i tragiczne były skutki tego braku porozumienia. Kiedy ples umiera, patrzy w oczy pana i — po pslemu — pyta w myślach: „Co się z nami stało, przyjacielu?”. Ten przekaz właściciel zdaje się rozumieć, ale jest już za późno. Ples zostaje pochowany i zakopana zostaje również strzelba, choć jeźdźca czeka długa i niebezpieczna droga. Opowiadanie kończy się poetyckim opisem zachodzącego słońca i niknącej w dali sylwetki na koniu. Czytelnik oczekuje jakby czego innego, nie tej harmonii...

— Czy właściciel psa powinien się powiesić lub może zastrzelić z tej samej strzelby? Tak byłoby lepiej? Przecież takie jest życie. Natura pozostaje obojętna na dramat zwierzęcia i jego pana. Mimo przeżytej tragedii pozostaje on (wraz z koniem) elementem pejzażu, bardzo pasującym do niego, do pory dnia i malarskości sytuacji. Takie jest po prostu życie.

— Nad czym pan pracuje obecnie?
— Kończę opowiadanie, które nie ma jeszcze tytułu. Jest to historia adwo-

kata, który do szalenstwa kocha swoją żonę. Ta go zdradza, lecz on nie wierzy w doniesienia o tym. Wreszcie ktoś powiadamia go, że może zastać małżonkę „in flagranti”. Jedzie do domu i znajduje ją w łóżku z kochankiem. Reaguje spokojnie. Nie strzela, nie wypędza żony z domu. Jedyną jego „zemstą” jest żądanie od niej, aby do każdego posiłku przynosiła jedno nakrycie więcej. Jest tak również w przypadku przyjęć z udziałem gości. Sytuacja jest doskonale czytelna dla otoczenia mecenasa, a dla żony staje się udręką nie do zniesienia. O uczuciach męża na razie nie wiemy. Któregoś jednak dnia od lekarza żony dowiaduje się on, iż żona jest chora na raka...

— ...i?

— No właśnie. Do tego miejsca doszedłem. Nie wiem, co dalej, męczę się z tym już pół roku. Jeden z wariantów jest następujący. Adwokat telefonuje do domu, mówi, że już jedzie na obiad i prosi, aby żona nakryła tylko na dwie osoby. Ta jest pełna radości i nadziei. Adwokat telefonuje do kochanki i zaprasza go do domu. Sam jedzie nad morze. Wchodzi w nie w ubraniu. Idzie... W końcu morze przykrywa go... Nie jest to powiedziane wprost, ale sens takiego rozwiązania ma dla bohatera wymiar etyczny. Zakłada, że mógł swym okrucieństwem psychicznym przyczynić się do choroby żony, więc postanawia ukarać siebie, a kobiecie zwrócić tego, którego wybrała.

— **Motyw nieszczęśliwej, tragicznej miłości (wszelkiej, niekoniecznie kobiety i mężczyzny) zdaje się dominować w pana piśtarstwie. Wydaje się, że w tej materii w zasadzie wszystko już powiedziano. Czy to pana nie deprymuje?**

— Być może powiedziano wszystko, ale to „wszystko” zawsze można wyrazić jako inaczej. Nie, nie mam kompleksu wtórności. Idąc tą drogą myślenia, można skonstatować, że literatura powinna się zakończyć (z podobnego powodu) na Szekspirze.

— **Jedzi pan po świecie. Odwiedza Armenię, swoich krewnych w wielu innych krajach, wiele pan widział, przeżył. Czy z tej perspektywy światowca i człowieka życiowo doświadczonego może pan sformułować jakieś swoje credo?**

— Nie jest ono jakiegoś nazbyt wyszukane czy wyrafinowane. Zresztą nawijamy do prośbiej. Mówmy nie o jakichś dewizach, a o tym, co po prostu lubię. Lubię bezkres morza, zieleń lasu, dobre wino, dobre papierosy, uśmiech i oczy ładnych kobiet. Najbardziej jednak lubię napotykać uśmiech uczciwych i zadowolonych z życia ludzi. Co — przyznaję — jest bardzo rzadkie.

— **Czy można by to w jakiś sposób powiązać z tym, że jest pan Ormianinem i stanowi to jakiś „rys narodowy”?**

— Być może tak. Ormianie, gnani przez wieki i cały świat, zawsze szukali harmonii, wytchnienia, życzliwości otoczenia. W tym sensie moje oczekiwania i marzenia są typowe.

— **Na zakończenie — pewne spostrzeżenie. Obserwujemy w świecie powszechne zainteresowanie Armenią. Tragedią trzęsienia ziemi interesowali się mężowie stanu. Robert Dole i jego małżonka Elizabeth, wybitni politycy republikańscy, złożyli ostatnio w Armenii wizytę. Doniesienia z Karabachu śledzi cała opinia światowa. Czy nie jest to jednak nieco „chore”, z tragedii płynące zainteresowanie?**

— No cóż, zainteresowanie Ormianami i Armenią zawsze w jakiś sposób płynęło z przeżywanego przez nas tragedii. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. W dzisiejszym jednak czasach, w królestwie informacji totalnej i mass mediów, nasze dramaty są bardziej widoczne i bardziej powszechne. Być może świat z pewnym zażenowaniem zaczyna zadawać sobie pytanie — czy naród ten musi być narodem nieustannie doświadczanym. Proszę mnie nie zrozumieć źle. My nie oczekujemy współczucia, załamywania nad nami rąk. A jedynie refleksji nad faktem, że jest w świecie mały naród, który przez 1600 lat zachował tożsamość narodową, kulturową i religijną, wsparta na fundamencie chrześcijaństwa i jego wartościach uniwersalnych. My nie pytamy, czy jest taki drugi, bo oczekiwanie odpowiedzi byłoby obarczone grzechem nieskromności. My skromnie przypominamy: „Oto jesteśmy”...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

„PRZYNOŚI SIĘ W SERCACH TRADYCYJĘ A W UMYSŁACH CHŁÓD I OBOJĘTNOŚĆ”

Rozmowa z ojcem Wasilijem Jonowem



Fot. Waldemar Stępień

— **Co skłoniło ojca do poświęcenia się służbie kapłańskiej? Jaka była ojca droga do cerkwi prawosławnej?**

— Wyrastałem w religijnej atmosferze, w rodzinie było już kilku duchownych, głęboko wierzącą kobietą była moja matka. Pochodzę ze średniozamożnej chłopskiej rodziny rumuńskiej, ze wsi Borysowo w województwie Michajłowgrad. Tam, na terenach między rzeką Timak a miastem Tutakan, żyje sporo Rumunów, wiara jest spoiwem, przenosi, przechowuje zwyczaje przodków, odrębność kulturową.

Tak więc, nie wbrew, jak to często się dzieje, lecz przy aprobacie rodziny, wstąpiłem do seminarium duchownego w Czerepizhu Wraccanskim. Ukończyłem je i po odbyciu służby wojskowej przez trzy lata studiowałem medycynę w Wielkim Tyrnowie. Później były cztery lata Akademii Teologicznej w Sofii, którą ukończyłem z wyróżnieniem. Od 15 lat jestem przewodniczącym cerkiewnego regionu obejmującego Letnice i Assenowce. Najstarszy z moich trzech synów jest również studentem teologii.

— **Jak w ogólnym zarysie wygląda sytuacja religii i duchowieństwa w Bułgarii?**

— Oczywiście swoboda wyznania jest gwarantowana konstytucją, choć — jak pan zapewne wie — przez wiele lat był to zapis dość iluzoryczny. Ostatnie lata przyniosły świeży powiew zmian na lepsze. Miejmy nadzieję, że trwały. Sprawy duchowieństwa i religii określa w Bułgarii Święty Synod Kościoła Prawosławnego; ze strony państwa pozostają one w gestii Komitetu Problemów Religijnych i Kulturowych, podporządkowanego — inaczej niż u was — Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Wszystkie kościoły, klasztory, wydawnictwa, szkolnictwo i duchowni utrzymywani są z budżetu cerkiewnego.

— **Ile wynosi pensja duchownego?**

— Po wyższych studiach teologicznych — około 250 lewa. Wysokiej klasy fachowiec może zarobić 340—350 lewa. Ja otrzymuję dodatkowo 70 lewa

jako dyrektor cerkiewnego gospodarstwa rolnego, które przynosi całkiem niezły dochód. Mamy gospodarstwo zmechanizowane, towarowe, zbieramy po 50 kwintali pszenicy z hektara. Na marginesie: dochody duchownych są w dużej mierze uzależnione od regionu, od ofiar wiernych, podobnie zresztą jak i w Polsce.

— **A co jest u was odmiennie?**

— Społeczeństwo polskie jest ogromnie religijne, kościoły pełne, powszechny udział młodzieży w nabożeństwach, znacznie większy zakres swobód religijnych — nauczanie, prasa itd. Jestem pod ogromnym wrażeniem stanu i wyposażenia polskich kościołów, ekscytującej atmosfery mszy. Podniosły nastroj nabożeństw, w których uczestniczyłem, jest dla mnie, duchownego, czymś zupełnie wyjątkowym, wzruszającym i podnoszącym na duchu zarazem.

W Bułgarii czynnie praktykują głównie ludzie starzy, mało jest w cerkwiach młodzieży. Przychodzi do nas w Boże Narodzenie i Wielkanoc, przychodzi z ciekawością i zagubieniem, przynosi w sercach tradycję, a w umysłach chłód i obojętność. Ludzi starych, głębokiej wiary komentuje się nierzadko jako „głupie baby, dewoty, ciemnotę”. Od 1947 roku nie nauczamy religii, a laicka szkoła i lata indoktrynacji, w połączeniu z fascynacją konsumpcyjnym modelem życia, odrzucają od cerkwi kolejne pokolenia.

— **Dotyczy to całego kraju? Wszystkich warstw społecznych w równej mierze?**

— Raczej tak, choć są rejony bardziej religijne: Widinski, Trojanski, Gabrowski. Są duże skupiska wierzących w większych miastach, jak Sofia, Plewen czy Płowdiw, gdzie przechowała się wiara i tradycja. Trudno jednak uchwycić tu jakieś statystyczne prawidłowości. Na przykład inteligencja, w Związku Radzieckim tak gremialnie powracająca do cerkwi, w Bułgarii jest indyferentną religijną. Tradycyjna ostoja prawosławia — wieś ogromnie zmieniła swój charakter po II wojnie światowej, podlega zmianom strukturalnym i ekonomicznym, procesom migracyjnym do miast. A miasta zacierały tożsamość, wypłukują tradycje, rozluźniają więzi społeczne. Ludzie żyją jak w małej kapsule, opętani codziennymi problemami, rozbiegani, szukający poprawy bytu...

— **Przebudowa, proces demokratyzacji władzy, życia politycznego w Związku Radzieckim, kraju bliskim wam kulturowo i religijnie, spowodowały reanimację prawosławia, odbudowę jego wpływów, nawrót do wiary, zwiększenie swobody praktyk religijnych. Z drugiej strony, od lat w Stolicy Apostolskiej zasiada papież-Słowianin, mocno podkreślający rolę i potrzebę ekumenizmu. Czy fakty te miały i mają, zdaniem ojca, wpływ na to, co dzieje się w Bułgarii?**

— Bezwzględnie tak, choć przemiany nie są może tak burzliwe, jak tutaj i za Bugiem, i pewnie nie tak radykalne, jak wy sobie — per analogiam — wyobrażacie. Dla mnie pierestrojka jest czymś bardzo konkretnym, by nie powiedzieć: słyszalnym. Otóż jeszcze do niedawna nie wolno mi było nawet dzwonić na mszę, na pogrzeb, na ślub. Nie mogliśmy chrzczyć, udzielać ślubów w cerkwi — tylko w domach. Rozmowy z poprzednim sekretarzem partii były raczej monologami. Obecnie dodajemy się na bieżąco i z nowym sekretarzem, i z naczelnikiem. Opiekuję się — sam publikując w prasie — przyjeżdżającymi dziennikarzami, pomagam teatrom szkolnym. Słowem, jestem traktowany jak partner. Inna

sprawa, że szacunku nie można wyrobić sobie formalnym autorytetem, lecz niezależnością, charakterem i fachowością (przecież jestem też dyrektorem). Prawosławny duchowny, mający rodzinę, pracujący, jest przez lokalną społeczność i władzę oceniany ostrzejszą miarą.

Wracając do odnowy w Bułgarii. Podjęty został dialog między cerkwią a władzami, który ma uregulować wiele spraw spornych, m.in. mienie kościoła, stan obiektów sakralnych. Wiele z nich znajduje się w oplakany stanie, są puste i mają być na dużą skalę restaurowane, przeznaczone na muzea. W końcu są to pomniki naszej tysiącletniej z górą kultury, naszej tożsamości narodowej; to przede wszystkim wiara ocaliła nasz język, tradycję i narodową jedność. Gwoli sprawiedliwości muszę powiedzieć, że — choć były takie próby — nasze klasztory i kościoły nie podzieliły tragicznego losu radzieckich zabytków. Nie zmieniono ich na magazyny i warsztaty. To starzy ludzie, wierni, pikietowali dniami i nocą opustoszałe obiekty, nie pozwalając zmieniać ich charakteru...

Mówił pan o ekumenizmie. Dialog między chrześcijanami staje się czymś zupełnie naturalnym i koniecznym, w czym Jan Paweł II ma nieoceniony udział. Wszak wyrosliśmy z jednego pnia, rozdartego szczyżną w 1054 roku. Przeto tak oczywiste jest braterstwo wszystkich chrześcijańskich wyznań przy odmiennym wypełnianiu naszej wspólnej drogi. Zagroźenie planety światową katastrofą sprawia, że musimy być mądrzy, na bazie ruchu ekumenicznego podjąć walkę o zachowanie najcenniejszego daru Bożego — życia.

— **Jak wobec tego ocenia ojciec stan posiadania i przyszłości prawosławnej cerkwi bułgarskiej?**

— Liczbowo sytuacja nie wygląda imponująco. W sofijskiej Akademii Teologicznej studiuje około 400 studentów, w seminarium w Czerepizhu uczy się około 200 osób, przede wszystkim z rodzin duchownych. Uważam, że poziom nauczania w Akademii jest wysoki, wyższy niż w Moskwie czy Bukareszcie. Dotyczy to filozofii, historii czy muzyki, które — sądzę — wyprzedzają poziomem uczelnie świeckie. Mamy około 1000 księży i drugie tyle zakonników, przeważnie w podeszłym wieku. Starzeją się nie tylko monastery, zakonnicy też... Co do przyszłości, cóż, mówiłem panu o areligijności naszego społeczeństwa. Bardziej może niż wiara pociąga ludzi tradycja, obrzędowość, z właściwą jej uroczyścią i namaszczaniem. Ludzie jeżdżą samochodami czasem wysoko w góry, na chrzciny i wesela do starych monasterów. Może to intuicyjny powrót do źródeł, a może tylko całkiem współczesny wstyd i obawa...

— **A co ojciec robi poza swoimi kapłańskimi i dyrektorskimi zajęciami?**

— Ha, jestem publicystą, staram się nim w każdym razie być. Publikuję w prasie sofijskiej i lokalnej. Napisałem kilka książek, które leżą sobie w oczekiwaniu na druk. Współpracuję z prasą moldawską w ZSRR. Interesuję się sylwetkami bułgarskich duchownych, obyczajami narodowymi, zbieram legendy i podania bułgarskie. Przywożem do Polski część rękopisów, na KUL-u przyobiecano druk, mam zaproszenie na cykl wykładów w tej uczelni. Serdeczność, z jaką spotkałem się w Lublinie, jest doprawdy wzruszająca i bardzo mnie zbliżyła do Polski i Polaków.

— **Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia na ojca wykładach.**

Rozmawiał: Leszek Wiśniewski

„ŻĄDAĆ W CAŁYM KRAJU”

Leszek Wiśniewski

ZDAWAŁOBY się, że sprawę pomnika Bieruta mamy już rozwiązana. Brązowa postać zdemontowano i przewieziono (urywając przy tym prawą rękę, cóż za symbolika!) do Kozłówek, w sąsiedztwo innych zdemobilizowanych tytanów z betonu, marmuru i brązu. Pomnik przemianowano na „rzeźbę — Bolesław Bierut”, co jest równie groteskowe, jak nowe usytuowanie spowitej w folię postaci — w pięknym pałacowym parku ołdynałów. Tak więc lud będzie miał nowy problem tzw. społeczny, a znając jego poczucie humoru — nazwa Bierutówka upowszechni się równie szybko jak ongiś Kozdrówka.

Dla mnie wszelako sprawa ta staje się już obojętna, jako że groźniejsze od spisu są zawsze idee, praktyka i czasy w nim odlane. Smutna ta historia skłania mnie raczej do ogólniejszej refleksji nad polskim pomnikiem jako takim. A rzecz jest na czasie, gdyż jedyną to bodaj dziedziną budownictwa, w której nie tylko nie widać kryzysu, ale nawet obserwujemy w niej pewne ożywienie.

Zastrzegam się od razu, z obawy przed linczem, że nie jestem przeciwko inicjatywom marmurowania naszej historii i chwały lub męczeństwa tak w ogóle, choć oczywiście śmieszy mnie kocki projekt budowania panoramy czy też przerabiania skromnego cmentarza w Osuchach na partyzanckie gigant-mauzoleum. Nie jestem też, na przykład, przekonany, czy Ojciec Święty akurat najbardziej pragnie tego, by w biednym, biedniutkim kraju

rodacy wydawali uciulane pieniądze na wznoszenie jego podobizny, jak to się stało niedawno koło Tarnobrzega.

Chodzi mi jednak o coś ważniejszego i poważniejszego, o to mianowicie, kogo chcieliśmy i chcemy widywać w cokółach, a która to chęć obrazuje w istotny sposób widzenie naszej tradycji, dążeń, naszą samoświadomość i mentalność. „Pokażcie mi swoje pomniki, a powiem wam, kim jesteście — czyż nie można by tak powiedzieć?”

Spotkałem niedawno w śródmieściu Lublina parę starszych Amerykanów. Poszukiwali, z planem Lublina w ręku, pomnika Marii Curie-Skłodowskiej. Objaśniłem. Zdziwiłem się. Bo i po cóż Jankesom statua naszej dwukrotnej noblistki, skoro w Harvardzie, Berkeley czy Bostonie mogą sobie obejrzeć na pęczki żywych laureatów? A może właśnie to ich zaintrygowało — owo spżowe uznanie dla rozumu i racjonalności kobiecego umysłu w kraju tak bezrozumnym, tak udręczonych kobiet. A może zwyczajnie zaciekawilo ich, komu i jakie pomniki stawiają Polacy? No, właśnie...

WNOSZĄC po cokółach z naszych placów i ulic, jesteśmy narodem artystów i wojowników. Jesteśmy czy też za taki chcemy uchodzić? Wodzowie, hetmani, generałowie, ulani, poeci, przewagi i kłęski, i ci co je sławili, przelewali krew serdeczną i atrament, wyniesieni nad szarą codzienność gestem społecznym lub władzy. Taki przykroiliśmy sobie i przyszłym pokoleniom wizerunek polskiej duszy, zdolnej do subtelnych wzruszeń i

wścieklej odwagi. Takimi chcieliśmy pokazać się światu. Polak w mundurze, rozpięty na krzyżu narodów Europy i recytujący Mickiewicza pod Etiudę Rewolucyjną Chopina!... A dlaczego nie Norwida, na przykład, z jego „pracy abecadłem”?

Twierdzą stanowczo, że ów patriotyczno - wojenno - internacjonalistyczny etos był szerzony ze szczególnym upodobaniem przez naszych powojennych władców i ich nadwornych propagandzistów. Całe pokolenia chowano w namaszczonej kulcie chwały polskiego oręża i polskiego pióra, czynów wyjątkowych, niezwykłych, wyróżniających nas spośród innych nacji, przynajmniej szczególnie miejsce. Do czego?

Na użytek wewnętrzny obowiązywała dla odmiany teza o naszym równie rzekomym lenistwie, braku talentów organizatorskich, balaganiarstwie i niedyscyplinowaniu, jakże ułatwiająca zadanie konstruktorom teorii „Polnische Wirtschaft”. A jeszcze ta obłądna konotacja o jakoby cudownej umiejętności Polaków konsolidowania się w ekstremalnych sytuacjach, rozgrzeszająca teza o naszym rzekomo niepokromionym charakterze, zdolnym do czynów niezwykłych — kosztem „żydowskich” przymiotów.

I tak wielkimi zrywami mieliśmy zastąpić to, co inne nacje osiągały codziennym małym budowaniem i bytowaniem. Efekt: młody Polak, zapytany przez rówieśnika z Zachodu, czym, oprócz kultury i tradycji militarnych, możemy się poszczycić przed Europą, co produkujemy lepszego od innych,

zacuka się i spuści głowę. Pola bitew mało już obchodzą Europejczyków i współczesny świat. Nikogo nie interesuje samurajski kodeks Bushido, ale nowe konstrukcje Mitsubishi, Seiko, Sanyo jak najbardziej. Świat przeorientował myślenie, przekonstruował etos: podbojów dokonuje się na semi-kontenerowcach, walczy się za pomocą mikroprocesorów — o rynki, nie o granice.

SPOJRZMY na siebie, za siebie, na nasze pomniki. Czy znalazło się na cokółach miejsce dla wybitnych inżynierów, konstruktorów, lekarzy i przemysłowców? Tych, którzy budowali nasz materialny, cywilizacyjny byt? Nie ma tego miejsca dla ludzi walczących rozumem i kieszą, talentem, sprytem i zmysłem do interesów. Dla tych wszystkich Ossolińskich, Tyzenhauzów, Małachowskich, Druczkich-Lubeckich, Cepelińskich, Marcinkowskich, Grabskich i Kwiatkowskich, których nazwiska można wylizywać ciurkiem i długo, ale poza tabliczką z nazwą ulicy i przyczynkami historyków próżno szukać tych „nieromantycznych bohaterów” w obowiązkowych lekturach.

Przeciętny licealista oczywiście bez trudu wymieni wielkich hetmanów Rzeczypospolitej: Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Koniecpolskiego czy Sobieskiego, pewnie wyliczy też ich wiktorie, ale na pewno nie zna nazwisk podskarbis, którzy supłali pieniądze na te zwycięstwa. Wątpię, czy wie on o tym, że najwyższą na świecie koleją transandalską wybudował niejaki Malinowski, że pół Australii przemierzył i przebadał niejaki Strzelecki, i że polski kartel cukrowniczy dyktował przed wojną ceny Europy. Przeciętny Polak nie wie, na czym polegała reforma pieniądza Władysława Grabskiego, skąd Kwiatkowski wziął pieniądze na budowę COP-u (huta Stalowa Wola w 16 miesięcy!!!), ani też na czym polegała ekonomiczna walka Poznaniaków o narodowe przetrwanie.



Fotografował: Waldemar Stepien

JAK TU CICHO,

Henryk Pajak

WDAWNEJ stajni zespołu pałacowego Zamoyskich w Kozłówce znajduje się unikalne, na miarę księgi Guinnessa, muzeum czy raczej wysypisko sztuki socrealnej z lat pięćdziesiątych. Historia sztuk plastycznych zapewne nie notuje czegoś takiego: aby tak bezceremonialnie, z taką ostentacyjną wzgardą, zrodzoną chyba z kompleksu współwiny, to znaczy rażącego niegdyś współuczestnictwa w lizusowskim panegiryzmie — zebrać, zmagazynować w ustronnym miejscu i zaszpuntować na kłódki kilkadziesiąt prac rzeźbiarskich.

Składowisko datuje się od 1962 roku, kiedy to podjęto decyzję o wyborze Kozłówek na magazyn polskiej rzeźby socrealistycznej. Zaczęto tu wozić całe postacie, popiersia i „główki” zdewaluowanych po Październiku bożków i bohaterów epoki stalinowsko-bierutowskiej. Inicjatorem tej zbiorowej banicji było Ministerstwo Kultury i Sztuki, prawny właściciel rzeźb. Wykonywali je artyści na zamówienia ministerstwa lub jego agend w ramach stosowanego wówczas (obecnie także,

choć rzadziej) mecenatu: honorarium za dzieło stawało się formą stypendium dla wykonawcy. Rzeźby z kolei trafiały do placówek Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, skąd potem ich gwiazdzisty zlot zakończył się w Kozłówce.

Pomieszczenie byłej stajni, gdzie Zamoyscy hodowali konie wojskowe, jest mocno zagrzybione i zawilgoczone, resztki stajennej podłogi przegniły doszczętnie. Ponieważ w 90 procentach rzeźby są wykonane z gipsu, dla którego wilgoć jest naturalnym rozmiękczającym wrogiem, po upływie dwudziestu kilku lat pękają, kruszą się i rozsypują. Dotyczy to w pierwszej kolejności rzeźb ciężkich, gdzie nacisk masy na części dolne jest duży, a osłabiona struktura materiału nie wytrzymuje ciężaru. Jeszcze czas jakiś, a zamiast się w wysypisko gipsowego gruzu. Los ten spotyka nie wszystkie. Część prac wykonano z materiałów trwałych, jak kamień, ceramika palona, a nawet stopy metali.

Stosunek kolejnych kierownictw muzeum w Kozłówce do tego niechcia-



Wie za to, że przed wojną zamykano komunistów do więzienia, bito Żydów, było bezrobocie, Ukraincy chodzili w lapciach, a Poznaniacy to Pyry.

Dlatego uważam za dywersję pokazywanie „Najdłuższej wojny nowoczesnej Europy”, najmańdrzejszego serialu zrobionego przez polską TV, w drugim programie, podczas gdy w niedzielne popołudnie sprzedaje się w „jedynce” oglupiające idiotyzmy w brazylijskim wydaniu. Oczywiście, lud chce lekkiej rozrywki, więc kupimy pewnie kolejne tasemki, tylko może przedtem od razu nadbudujemy nad telewizorem szalasy i lepianki i dajmy spokój z gadaniną o akcesie do narodów nowoczesnej Europy. Ja wprowadziłbym raczej wspomniany serial (według scenariusza Bratkowskiego) do lektury obowiązkowej, razem z paroma jeszcze innymi pozycjami, o których minister Fisiak wie równie dobrze jak ja.

POZOSTANMY jeszcze na chwilę w galerii zapomnianych przodków. Może raczej niekiedy zapomnianych zasług. Jeden z największych narodowych bohaterów Tadeusz Kościuszko doczekał się oczywiście paru pomników, jest patronem wielu instytucji i organizacji. W świadomości Polaków występuje on naturalnie jako wybitny wódz i dzielny Naczelnik. Pust' budiet — jak mawiają Rosjanie, choć wodzem był Kościuszko niespecjalnym, a Naczelnikiem nieprzekonywującym.

Amerikanie postawili mu pomnik w Akademii Wojskowej West Point. Dlaczego tam? Ano, bo uznali jego wybitne talenta inżyniera wojskowego, jednego z najznakomitszych ówczesnych speców od polowej fortyfikacji, które to specjalności przyszył Naczelnik starannie zglębiał w Paryżu. W West Point pobudował w czasie wojny wyzwoleńczej Amerykanów fortyfikacje, które zdziwiły zarówno nieobeznanych z tym Jankesów, jak i biegłych w tej sztuce Angolów. Ot, co.

Albo Prądziński — znany jako zwycięzca spod Igań i Dęba Wielkiego,

mniej znany jako twórca podziwianego do dziś Kanalu Augustowskiego; czy Sokolnicki, nie tak zdolny dowódca, jak saper i inżynier wojskowy.

Są i cywile. Choćby książe Drucki-Lubecki. No, niby się wie że coś tam robił w finansach, jakiś Bank Polski, ale postać taka jakaś niesympatyczna, kolaborant i intrygant. A nie wie się, iż była to jedna z najbardziej fascynujących i wpływowych osobistości tamtej epoki w tej części Europy, mająca ogromny udział w dźwiganiu z upadku materialnego Polaków, w budzeniu ich instynktu ekonomicznego i umiejacą talentem i... pieniądzem używając to, czego palaszem uzyskać się nie dało. Ze poniósł porażkę? Pod Ostrołęką ponieśliśmy ją wszyscy.

WEJDZMY jeszcze w lubelskie podwórko, jakże typowe „w temacie” rzeźby pomnikowej. Mam tu pomniki Skłodowskiej, Wieniawskiego, Czechowicza, Kochanowskiego, Józwiaka (konia z rzędem temu, kto powie, czym zasłużył się narodowi!), parę pomników upamiętniających bitwy i martyrologię, wydarzenia. Z reguły okazjonalnie lub incydentalnie związane z Lublinem.

Napisałem, przy okazji biografii gen. Smorawińskiego, że Lublin jest miastem skorym do rozdawania niezaskluszonych zaszczytów. I nie chodzi mi nawet o pomniki, które są: bardziej o te, których nie ma, a być powinny. Zawsze zastanawiam się, kto decyduje o ich budowie, kto kreuje bohaterów i społeczną świadomość. Bo wcale nie jest mi obojętne, koło jakiej figury, obok jakiej tablicy pamiątkowej przechodzę, jaką nazwę i której ulicy czytuję na rogu. To wszystko razem przesądza bowiem o naszym wyborze myślenia.

I nie wiem, dlaczego to Dymitrow może mieć niezgorszą ulicę w centrum, a wybitny polski socjalista Daszyński peryferyjną uliczkę na Ponikwodzie; w czym jest lepszy komunista Buczek od — powiedzmy — Wojciecha Korfantego, a gen. Swierczewski od gen.

Smorawińskiego. Dlaczego wielcy lubelscy społecznicy i działacze gospodarczy, jak Stein, Łopaciński, Wierciński, Sławiński, Bieczyński, Hess, Krauze, Wolski czy Łaskiewicz, zostali zepchnięci na boki albo nie patronują niczemu... Dlaczego naszej świadomości muszą przyswiecać nadal ludzie wątpliwych zasług. Nie chodzi mi absolutnie o rewindykacje i nowe pogromy pomnikowo-nazewnicze, idzie o wprowadzenie nowego sposobu widzenia umiejętności, zdolności i talentów Polaków, a w tym także lublinian.

Czasami odnoszę wrażenie, iż wszystko w gospodarce zaczęło się u nas kręcić po roku 1944, po „edykcji” PKWN. I owszem, przedtem coś się dłuowało, co nieco pobudowano ale tak naprawdę boom zaczął się dopiero po wojnie. No i w ogóle to problem skali! A jakże, skali, zwłaszcza, kiedy się zważy, że Park Saski urządzone w kilkanaście miesięcy, dworzec kolejowy budował Bieczyński dwa lata, papiernia istniała już w Lublinie pięćset lat temu (a jak by się przydała dziś!), piwo Vetterów zdobywało medale na wystawach, a lubelscy hodowcy koni należeli do absolutnej czołówki europejskiej. O zaopatrzeniu sklepu Magierskiego nie będę wspominał, żeby Czytelników nie denerwować. Podobnie jak o tym, że w Lublinie miały swoje składy firmy Suchard, Meinel, Bata i inne, zresztą lubelscy kupcy sami ostro handlowali z zagranicą.

A kto wie, że konkurs na dyrektora lubelskiej gazowni wygrał w latach dwudziestych, późniejszy wicepremier, Eugeniusz Kwiatkowski; kto zna nazwisko wybitnego konstruktora lotniczego od Plage-Łaskiewicza i LWS-u, inż. Rudlickiego; kto wie, że samoloty konstrukcji Zygmunta Puławskiego, związanego z Lubelszczyzną, wygrały słynne salony samolotowe w Parwuzu? Mało kto i nie dziwota, tego typu edukacja była nam przez wiele lat całkowicie zbędna, zastępowano ją skróconym kursem czegoś zupełnie innego oraz barwnymi opisami naszych szarż, kampanii i przewag.

Wyśmiewano swego czasu Stefana

Bratkowskiego za to, że usiłował racjonalnością zmienić Polskę, a zakładając spółdzielnie, rywalizować z totalną machiną państwowej gospodarki. Fiekowano Stefana Maciejewskiego za „Szlachetnych pasjonatów” i Bohdana Cywińskiego za przywoływanie w „Bohaterach nieromantycznych” obcych nam klasowo wyzyskiwaczy robotniczej pracy. Wyszczano i Józefa Kuśmierka za jego rzekomo alarmistyczne prognozy i pomysły samodzielnej, bez opieki wielkiego protektora, współpracy i wymiany przemysłowo-handlowej z innymi krajami obozu. I gdzie są dziś ci prześmiewcy, szydery i krytykanci? W spółkach z o.o.? Cztery śmieszni zwariowani panowie, śmiem sądzić, działali więcej dla edukacji ekonomicznej społeczeństwa niż połączone działy ekonomiczne partyjnych dzienników i wysiłki nauczycieli tzw. propedeutyki nauki o społeczeństwie.

CZAS jaki jest, każdy widzi. Polakom potrzeba wielu rzeczy, wśród których mądrość stała się artykułem niezbędnym. Zarówno mądrość polityczna, której tak znakomicie bronił niedawno przed paszkwillem angielskiego „myśliciele” z niedzielnego „telegrafu” Kazimiera Dzielanowski w „Tygodniku Solidarność”, jak i mądrość ekonomiczna. Racjonalność wyborów, instynkt przedsiębiorcy i kupca, wykształcenie nowoczesnego warsztatu ekonomicznego. Kurs, parytet, weksel, dyskonto, terms of trade, esy holding — to są rzeczy równie podstawowe jak sinus i cosinus. Nowoczesne narody dobrze o tym wiedzą. Dlatego zastanówmy się: kim chcemy być, jakimi chcemy być widziani przez innych?

W dawnej Polsce eksportowane wyroby warsztatów i manufaktur opatrzone dumnym: „Polonus me facit” (Polak mnie zrobił). Przed wojną istniała w Polsce słynna firma browarnicza Haberbusch i Schiele. Na swojej branzadzie umieszczali slogan: „Zadać w całym kraju!”. Chciałbym kiedyś ujrzeć oba te napisy na jakimś cokole. Mogłoby na nich stać chociażby but z łewej nogi...

JAK SMĘTNIE

Hęgo ementarzyska socrealnych wielkości był zawsze ambiwalentny. Nigdy nikt nikogo nie zobowiązywał do czegoś innego niż do zamknięcia stajni na kłódki. Stoją więc sobie owe sławne głowy w artystycznym nieładzie, w takiej kolejności i układzie, w jakich przybywały, w rozbrajającym eklektyzmie hierarchii i dziedzin, które reprezentują: Tuwim ramię w ramieniu z jedną z licznych podobizn Stalina, bokiem Lenin, górą Cyrankiewicz na półce.

W owym eklektyzmie nieskładnego wysypiska przebrzmiałych wielkości błąka się jednak pewien dreszczyk emocji — odnajdywania znajomych, osobliwa archeologia z czasów młodości, z lektur, pochodów, akademii i niezliczonych portretów. Jakieś anonimowe zwyczajne plecy, pokryte płaszczem kurzu, okazują się barkami Lenina lub Bieruta, czyjs profil — widziany z profilu — za chwilę zamienia się w pyzată twarz Mao Tse-tunga.

Kogo tam zresztą nie ma! Rozumie się — Stalin i Bierut dominują w najliczniejszych, i rozmiarom największych replikach. Jest Marks, Engels, Małgorzata Fornalska, Dzierżyński i dziesiątki innych znakomości, znanych nam do dziś z kanonu ulic czy nazw zakładów pracy. Obok nich tkwią zadumane głowy twórców kultury czy postaci zupełnie anonimowe, reprezentujące lud i jego wyteżoną pracę. „Chłopka” Zofii Pauszetówny, „Górnicy” Wiąca, „Zniwiarka” Karczora, jest „Głowa brukarza”, „Robotnik” Korzeniowskiego. Liczny jest panteon wybitnych twórców: Mickiewicz i Słowacki, Tuwim i Gogol, kilku Szopenów, Mikołaj Rej i kto tam jeszcze. Każde dzieło posiada wizytówkę tytułową z nazwiskiem wykonawcy. Nie brakuje wśród nich znakomitych dłu, jak np. Aliny Szapocznikowej z jej „Stallnem” niemal naturalnej wielkości.

Składowisko czeka na dalszy los od przeszło ćwierć wieku. Powstaje więc pytanie — co dalej? Takie pytanie cisnie się każdemu intruzowi, który, widziany ciekawością czy mściwą satysfakcją, zdoła nakłonić kogoś z obsługi muzeum do otwarcia składowiska.

Czynią to z niechęcią, kłódki są zarzewialem.

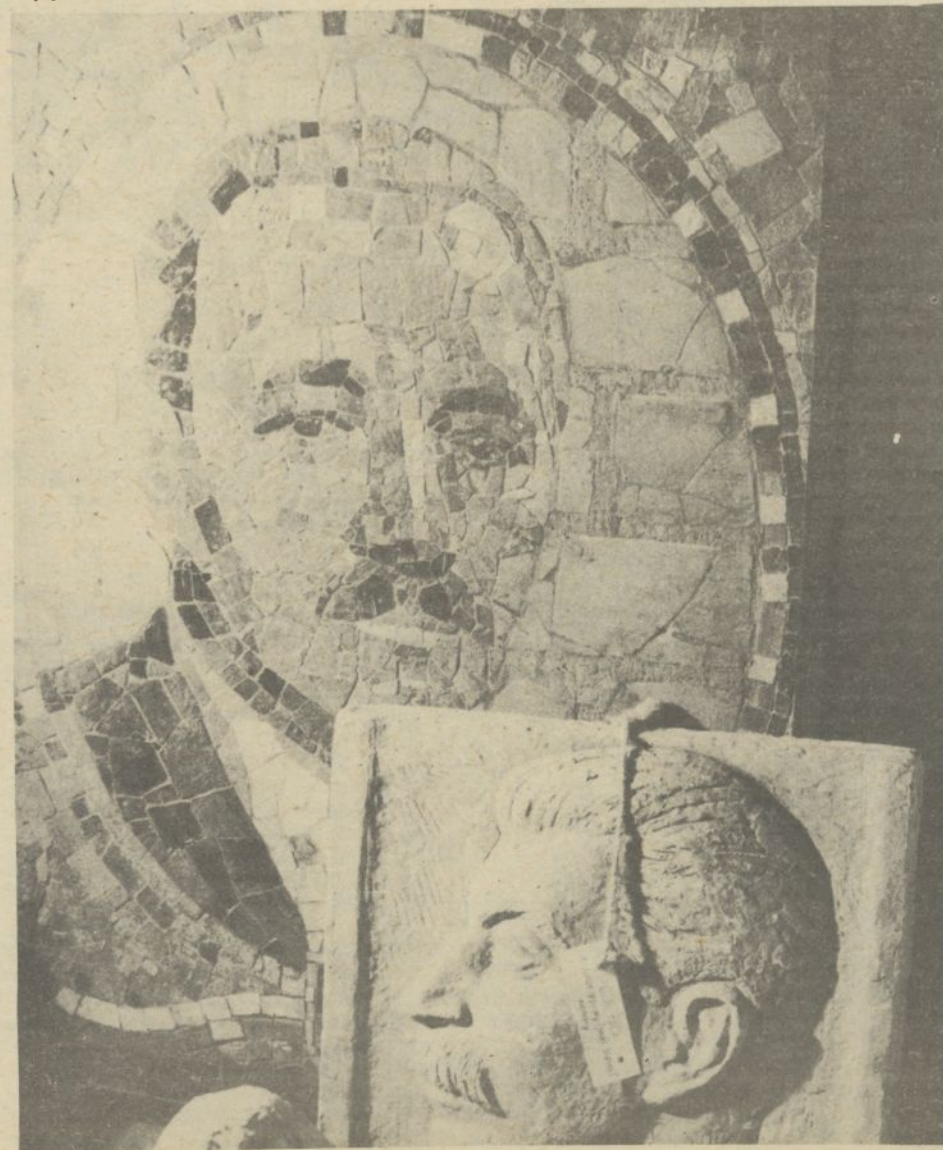
W ciągu czterowiecza w prasie lokalnej i krajowej pojawiło się zaledwie kilka wzmianek o kozłowieckich banitach. Po każdej zapadała cisza.

Piszący te słowa zwiedził składowisko niejako z marszu, przy okazji poświęcając za pomnikiem Bieruta, przywiezionym tu z Lublina. Ten ostatni eksponat stalinizmu jest jednak wyższy niż cała stajnia i z konieczności musiał stanąć pod gołym niebem, w kącie 19-hektarowego parku. Zupełnie inna jest jednak percepcja czegoś tak monstrualnego w swym gigantyzmie, jak siedmiometrowy pomnik Bieruta, niż oglądanie rzeźb, z których najwyższa nie przekracza półtora metra. Większość z nich to zupełnie poprawne, a nawet bardzo wartościowe dzieła sztuki rzeźbiarskiej. Do sztuki socrealnej zostały zaliczone metrykalnie, w rezultacie politycznego przesłania przedstawianych postaci, ale na skutek tego nie przestały być dziełami sztuki. Co zresztą ma wspólnego z socrealizmem Mickiewicz czy Słowacki, głowa Gogola czy Czerny-Stefańskiej, Szopen, Rej lub słynny niegdyś śpiewak murzyński Paul Robesson?

A więc — co dalej? Socrealizm stał się faktem w dziejach kultury polskiej i od tego faktu historia kultury i sztuki nie uchyli się, nie ominie go. W przeciwieństwie do jawnej nędzy większości dzieł literackich z okresu socrealizmu, plastyka socrealna pozostała po prostu sztuką, przeglądem możliwości i talentów polskiego rzeźbiarstwa lat pięćdziesiątych. Dlatego nie można pozwolić na ostateczny rozpad kozłowieckiej kolekcji, tego smutnego, ostrzegawczego, wstydlwego co prawda, incydentu w polskiej sztuce i kulturze. Warto to wysypisko ocenić przed zagładą.

W jaki sposób? Najlepszym, naturalnym rozwiązaniem byłoby urządzenie z niego stałej ekspozycji w majestacie wymogów muzealnictwa przeznaczonych do zwiedzania. Ale to by wymagało uzyskania około 200 metrów tak zwanej powierzchni wystawienniczej, na którą czekają tysiące eksponatów poupychanych w równie zawilgoconych piwnicach i składowiskach muzeów całego kraju.

W ostateczności można by pójść na inne rozwiązanie, w każdym razie lepsze niż powołna zagłada zbiorów w Kozłowie. Myślę tu o wyprzedaniu w formie aukcji, licytacji. Jeżeli rzeźby mają się rozpaść w kupę gipsu, niech lepiej zawędrują do hobbistów, miłośników staroci, ekscentryków. Sztuka radziecka z czasów stalinizmu ostatecznie idzie ostro w cenę na giełdach zachodnich, na przykład niektóre obrazy radzieckich malarzy z tego okresu osiągają cenę nawet kilkunastu tysięcy dolarów. Aukcja zbiorów kozłowieckich z całą pewnością przysporzyłaby pustawej kiesie Ministerstwa Kultury i Sztuki wielu milionów złotych. Gdyby mnie było stać, z przyjemnością nabyłbym świetnie wykonane popiersie Tuwima lub Szopena czy któregoś z znakomitych miniatur. Z kolei — czyż mało jest jeszcze w naszym kraju miłośników Stalina, Lenina czy Bieruta? Ludzi, którzy im szawdzają swoje błyskotliwe karłery polityczne czy zawodowe, a zatem i warunki materialne, zdolne uchronić ich dłu od rozpadu?



ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYŹNIE

Dokończenie ze str. 1

O powstaniu i istnieniu takiej mapy wspominają w swych pamiętnikach także niemieccy uczestnicy moskiewskich rokowań. Min. radca ambasady Rzeszy przebywający w Moskwie od 1921 roku, Gustav Hilger w swej książce „Wir und der Kreml” („My i Kreml”) pisze (s. 297): „Widzieliśmy, jak Stalin własnoręcznie zakreślił grubym niebieskim ołówkiem linię od południowej granicy Litwy ku wschodniej granicy Niemiec, po czym dalej w dół ku granicy czechosłowackiej, na południe”. Niemcy przynieśli tę linię na swoją kolorową mapę (w skali 1:1000000), na której następnie Stalin i Ribbentrop złożyli potwierdzające podpisy. Na egzemplarzu tym, na odcinku południowej Lubelszczyzny, Stalin własnoręcznie naniósł jeszcze poprawkę, przy której się podpisał dodatkowo. Niemiecki egzemplarz mapy znajduje się do dzisiaj w archiwum Auswärtiges Amt w Bonn, gdzie trafił (noworocil) z USA pod koniec lat pięćdziesiątych. Związek Radziecki nie ujawnił dotychczas istnienia u siebie analogicznego egzemplarza mapy Europy, własnoręcznie „poprawianej” przez Stalina.

„WYZWALANIE” LUBELSZCZYŹNY

Lubelszczyznę „wyzwalały od ucisku obszarników i kapitalistów” (cytat z odezwy dowódcy frontu do ludności polskiej) oddziały Armii Czerwonej walczącej w ramach frontu ukraińskiego, dowodzonego przez marszałka S. K. Timoszenkę przy współudziale komisarza politycznego kijowskiego okręgu wojskowego N. S. Chruszczowa. Po błyskawicznym odcięciu dróg polskich oddziałów do Rumunii, zajmowane były od strony wschodniej i południowej województwa tarnopolskie i stanisławowskie oraz lwowskie i wołyńskie. Jeszcze przed kapitulacją obrońców Lwowa (20 września) duże siły radzieckie ruszyły od strony Włodzimierza Wołyńskiego i Sokala w kierunku Chelma, Krasnegostawu i środkowej Lubelszczyzny.

Toczące się jeszcze duże bitwy W. P. z Niemcami w południowej Lubelszczyźnie (pod Krasnobrodem i Tomaszowem Lubelskim) oraz obecność silnych jednostek polskich (SGO „Polesie” gen. F. Kleberga) nad Bugiem w rejonie Włodawy, a następnie w okolicach Parczewa i Kocka, uniemożliwiały Armii Czerwonej „planowane wyzwolenie” całego województwa lubelskiego od wschodu i południa. W tej sytuacji wojska radzieckie weszły klinem od wschodu aż pod Lublin rozdziałając walczące jeszcze z Niemcami na południu i północy województwa ostatnie polskie ugrupowania, a następnie rozpoczęły rozszerzanie klina, uderzając m.in. w kierunku zachodnim na grupę płk. T. Zieleniewskiego, a w kierunku północnym atakując grupę wojsk KOP, dowodzoną przez gen. W. Orlika-Ruckemanna.

Rozszerzanie klina na południe nie doprowadziło już na Lubelszczyźnie do walk z wojskami polskimi, a miało głównie na celu zamknięcie od północy i południa resztek polskiej armii, usiłujących — po walkach w południowej Lubelszczyźnie — przedrzeć się w kierunku granicy z Węgrami (np. grupa gen. J. Wołkowińskiego). Do dalszego rozszerzenia lubelskiego klina na północ i ogarnięcia przez Armię Czerwoną wojsk SGO „Polesie” nie doszło, mimo istnienia zamykającego ramienia na kierunku Brześć — Biała Podlaska — Międzyrzec — Łuków, ponieważ zawarł 28 września nowego paktu „o granicach i przyjaźni” między Moskwą i Berlinem, spowodowało wycofanie wojsk radzieckich za Bug przed zakończeniem walk z Niemcami przez SGO gen. F. Kleberga. Uratowało to niewątpliwie liczną grupę oficerów W.P. przed losami ich kolegów z obozów w Kozielsku i Starobelsku.

WITANIE WKRA CZAJĄCEJ ARMII CZERWONEJ

Wkraczający do Polski czerwonoarmiści byli niewątpliwie przekonani, że niosąc „wyzwolenie od ucisku obszarników i kapitalistów”, spotkają się z entuzjastycznym przyjęciem społeczeństwa. Zewnętrznym przejawem tego entuzjazmu były — co prawda gdzieś tam tylko stawiane — bramy powitalne, wznoszone z inicjatywą zwolenników bolszewizmu, głównie Ukraińców oraz przez ludność żydowską niektórych miasteczek i osiedli. Były nimi także czerwone flagi wieszane na budynkach i w oknach domów zamieszkałych przez komunistów albo przez ludzi, którzy tym, nie znaczącym gestem chcieli sobie zaszkodzić względy nowej władzy. Oczywiście, z większą sympatią i zrozumieniem spotykali się Rosjanie na terenach zabużańskich, zamieszkałych przez liczną ludność ukraińską i białoruską, ale i tam bramy powitalne, kwiaty i flagi były częściej tylko rytuałem stosowanym wobec zwycięzców niż przejawem rzeczywistych nastrojów społecznych.

Brama powitana wystawiona w Łęcznej przez miejscowych komunistów Żydów, czerwone flagi w Chelmie, Krasnymstawie czy w Biłgoraju nie wyrażały odczuć większości mieszkańców tych miast i miasteczek. W Biłgoraju „oddziały Armii Radzieckiej witane były z sympatią przez biedotę miejską i wręcz entuzjastycznie przez społeczność żydowską, z wyjątkiem miejscowej burżuazji” („Dzieje Biłgoraja”, Lublin 1985, s. 221). Oczywiście mowa jest o „burżuazji” żydowskiej, gdyż przede wszystkim taka istniała w tym okresie w małych miastach Lubelszczyzny. Równie gorąco była witana Armia Czerwona przez znaczne grupy Żydów w Łęcznej.

Ciekawym, a nie opisanym dotychczas wydarzeniem były przygotowania władz miejskich Lublina do powitania Armii Czerwonej, która na polach Felina czekała na wejście do miasta. W ostatnim dniu września, lub pierwszego października (dokładna data trudna dziś do ustalenia) urzędująca w Lublinie od kilkunastu dni niemiecka komenda miasta poinformowała funkcjonujące nadal władze miejskie, że zgodnie z porozumieniem niemiecko-radzieckim, Lublin znajdzie się w strefie radzieckiej i w związku z tym następnego dnia rano Rosjanie wkroczą do Lublina.

Wiadomość ta rozeszła się szybko wśród mieszkańców miasta i dotarła również do licznych w tym czasie w Lublinie środowisk żydowskich. W związku z tym socjaliści i komuniści żydowscy postanowili uroczystie przywitać wkraczającą Armię Czerwoną. Było to tym bardziej uzasadnione, ponieważ niecałe dwa tygodnie wcześniej gmina żydowska Lublina witała na Placu Władysława Łokietka wkraczających do Lublina Niemców (witanie Niemców przez Żydów było rzadkością; wydarzenie w Lublinie jest, być może, jedynym takim przypadkiem w Polsce).

Na wieść o zamierzeniach lewicowych działaczy żydowskich, władze miejskie Lublina uznały, że celowym będzie oficjalne powitanie wkraczających Rosjan przez przedstawicieli Zarządu Miejskiego, na czele którego stał, mianowany jeszcze przez władze polskie, Roman Slaski, uznany również przez Niemców. Zorganizował on wieczorem, przed dniem przewidywanego wkroczenia Armii Czerwonej, zebranie w jednym z budynków przy ul. G. Narutowicza (którym?) i zaprosił na nie działaczy władz miejskich i przedstawicieli organizacji społecznych dla ustalenia składu delegacji, która miała

udać się następnego dnia wczesnym rankiem na ulicę Fabryczną w celu przywitania nowych okupantów. Po dyskusji wyłoniono trzyosobową delegację w składzie: Roman Slaski — prezydent miasta, Marian Chojnowski — działacz PPS, z-ca komendanta polskiej Straży Bezpieczeństwa, działającej w Lublinie za zgodą niemieckiego komendanta miasta, a trzecią osobą miał być prawdopodobnie Władysław Kunicki — pedagog i działacz spółdzielczy. Delegacja wyjechać miała na przedmieście samochodem władz miejskich. Ponieważ rano samochód nie przyjechał po Chojnowskiego i Kunickiego (?), poszli oni do Slaskiego, by dowiedzieć się o przyczynach. Prezydent poinformował ich, iż Niemcy zawiadomili go wcześniej rano, że przekazane uprzednio przez nich władzom i decyzje stały się nieaktualne, a Lublin i Lubelszczyzna zostają nadal pod okupacją niemiecką. I tak spełzły na niczym zamiary powitania Armii Czerwonej na przedmieściu Lublina.

Wróćmy jeszcze do daty tych wydarzeń. Radzieckie jednostki frontowe, walczące w południowo-zachodniej Lubelszczyźnie z Wojskiem Polskim, zostały zawiadomione o zmianie radziecko-niemieckich ustaleń w sprawie Lubelszczyzny w dniu 2 października lub w nocy z 1-go na 2-gi. Był może, że niemieckie władze Lublina były poinformowane o tym kilka godzin lub nawet dzień wcześniej. Uroczyste witanie Armii Czerwonej w Lublinie miało więc odbyć się najprawdopodobniej 2 lub może 1 października.

WSCHODNIA OKUPACJA

Liczebność wojsk Armii Czerwonej, wkraczających na Lubelszczyznę, dziwiła nawet ludzi z sympatią patrzących na nowych zaborców. S. Lisik tak wspomina: przez Zabno (w pow. Krasnostaw) „od strony Wierchowiny zaczęły nadchodzić oddziały Armii Czerwonej. Sły duże kolumny różnych formacji wojskowych w mundurach szarozłocistego koloru, kierując się do Turubina i dalej w stronę Krasnika. Cała wieś wypełniła się wojskiem. Po krótkim odpoczynku oddziały maszerowały dalej, inne przychodziły na ich miejsce. Taka ilość wojska po raz pierwszy tej wojny przechodziła przez teren powiatu. Podobne kolumny wojsk szły od Żółkiewki na Wysokie, na Róki i Maciejów. Przemarszowi wojsk towarzyszył jakiś pośpiech dla nas niezrozumiały. W tym dniu oddziały Armii Czerwonej wypełniły po brzegi Żółkiewkę, Turubin, Wierchowinę, Maciejów, Wysokie i szły nieprzerwanie na zachód. Po wsiach zapanowała konsternacja. Wszyscy prawie wiedzieli o pakcie nieagresji Niemiec hitlerowskich ze Związkiem Radzieckim, ale to, co nastąpiło, wprowadziło kompletny chaos w pojęcia tutejszych ludzi” („Czerwone opłotki”, Lublin 1978, s. 50).

Ta bardzo liczna armia była źle ubrana i źle uzbrojona. Worki zamiast plecaków, stare karabiny na różnych paskach i sznurkach były normalnym obrazem. Budziło to zdziwienie i wesołość mieszkańców tych miejscowości, w których zatrzymywały się oddziały Czerwonej Armii. Ludność lubelskich wsi i miasteczek miała możliwość porównania umundurowania i wyposażenia wojsk radzieckich z wojskami polskimi i niemieckimi, ponieważ w ciągu września niejednokrotnie widziała i jednych, i drugich. Zdziwienie budził również brak wyróżnienia oficerów z całej masy przechodzącego wojska.

Wieś przyjmowała przyjęcie Armii Czerwonej przede wszystkim jako „wyzwolicieł” od posiadanej przez

chłopów własności. Propaganda okresu międzywojennego przyniosła tyle informacji o kolchozach, o głodzie wywołanym na Ukrainie przy ich wprowadzaniu i biedzie wsi radzieckiej, iż nie widać było zupełnie entuzjazmu w polskich wioskach, do których wkraczało sowieckie wojsko. Oczywiście, zdarzały się w tej czy innej wsi jednostki mile witające najeźdźców, ale postawa i działalność tych ludzi w okresie kilkunastodniowego pobytu Armii Czerwonej była na ogół potępiana przez zdecydowaną większość społeczności wiejskiej.

Zdawali sobie sprawę z tego nawet sami, nagle zrewolucjonizowani formale i wiejscy wyrobniczy ponieważ wielu z nich zostawiało — w chwili wycofywania się wojsk radzieckich — miejsca swego dotychczasowego zamieszkania i wędrowało na wschód z Armią Czerwoną, bojąc się odwetu ze strony mieszkańców wsi za ich kilkudniową „rewolucyjną” działalność.

Gospodarze wiejscy bali się również doraźnych rekwizycji i utraty inwentarza na rzecz wkraczającej armii. Jak wspomina cytowany już S. Lisik, chłopci, w chwili wkraczania Rosjan na teren powiatu krasnostawskiego uciekali z końmi do lasów.

Właściciele, dzierżawcy i administratorzy majątków ziemskich obawiali się nie tylko o swoją własność, ale nawet o swoje życie. Znało się zachowanie zrewolucjonizowanych mas żołnierskich wobec właścicieli dworów i majątków na wschodnich kresach Rzeczypospolitej i na Ukrainie w latach rewolucji bolszewickiej i powstawania państwa radzieckiego. Wielu miało jeszcze dobrze w pamięci obrazy doskonale przedstawione przez Zofię Kossak w jej „Pożodze”, kilkakrotnie wznawiane w okresie międzywojennym i chętnie czytanej. Liczni właściciele zostawiali swe majątki pod nadzorem ekonomów i ukrywali się u zaufanych chłopów, czekając na dalszy bieg wydarzeń.

NOWA WŁADZA

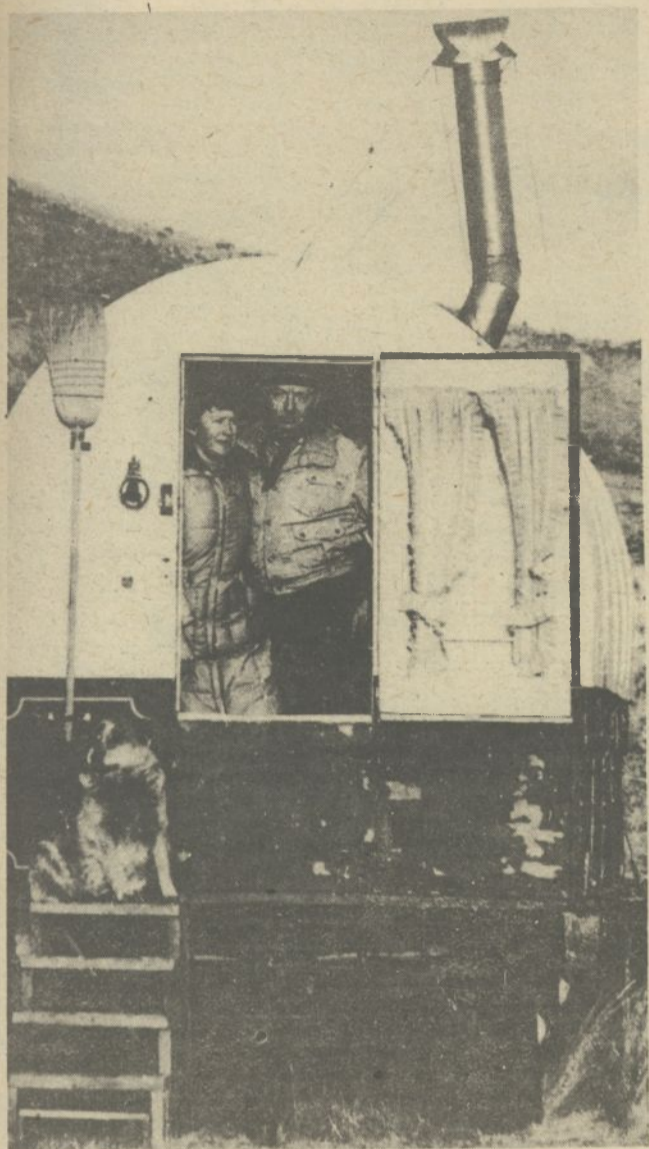
Oficerowie polityczni wkraczającej armii i pomagający im miejscowi zwolennicy bolszewizmu prowadzili ożywioną działalność agitacyjną. Natychmiast po wejściu wojska organizowano wiece, na których przedstawiano osiągnięcia ustroju radzieckiego, nawoływano do rozprawy się z burżuazją, obszarnikami i kapitalistami oraz do organizowania „ludowych” władz i milicji. W wygłaszanych przemówieniach informowano, że rządzący będą teraz robotnicy i chłopci, fabryki przekazane zostaną robotnikom, a pańska ziemia chłopom. Jadące za armią kinowozy wyświetlały, gdzie tylko się dało, filmy o życiu w ZSRR. Trzeba przyznać, iż filmy te były dość chętnie oglądane, szczególnie w tych miejscowościach, gdzie dla wielu mieszkańców było to pierwsze w życiu zetknięcie się z kinem.

Na wyniki agitacji nie trzeba było długo czekać. W wielu miejscowościach środkowej i południowej Lubelszczyzny zorganizowano komitety rewolucyjne, które miały przejmować władzę, tworzone wszędzie, w miastach i wsiach, „milicję ludową” nazywaną powszechnie „czerwoną” lub „opaskową”. Milicję tę uzbrajała Armia Czerwona. W wioskach „dworskich” powstawały komitety pracownicze, które miały przegonić obszarników i podzielić ich ziemię. Przed dokonaniem podziału ziemi w wielu majątkach rozgrabiono inwentarz żywy, narzędzia rolnicze i nawet meble z dworów.

Stało się to wszystko w ciągu kilku zaledwie dni. W miastach komitety rewolucyjne przy pomocy opaskowej milicji rekwizowały środki żywnościowe u sklepikarzy, młynarzy, piekarzy, rzeźników i wprowadzały ich dystrybucję pod swoją kontrolą. Zdarzały się przypadki (np. w Biłgoraju), że komitety rewolucyjne zaczynały się zajmować nawet działalnością kwaterekową. Wyjście Armii Czerwonej z tych terenów w dniach 2—3 października przerwało proces wprowadzania „sprawiedliwości dziejowej”.

(Koniec odc. 1. — cdn.)

Zbigniew B. Muszyński



Przypomnieć czasy, kiedy zaczynali swoją drogę



Nawiązanie do indiańskich tradycji

Reprodukcją Waldemar Stępień



Na tle Manhattanu

OBRAZKI Z AMERYKI

Anna Mickiewicz

W CHŁODNY zimowy wieczór, przeglądając styczniowy (1988 rok) numer pisma „National Geographic”, napotkałam dwa reportaże fotograficzne — jeden z Polski, drugi z Ameryki.

Zdjęcia z Polski pokazywały gdańską starówkę w nocy, sterty butów w Oświęcimiu, malownicze wiejskie pejzaże i ludzi: doktora Religę odpoczywającego po transplantacji serca, Biuro Polityczne w pierwszym szeregu 1-majowego pochodu, Lecha Wałęsę na rybach oraz chłopaka w kominiarce nasuniętej na oczy, obsługującego powielacz.

Drugi z reportaży — dotyczący Ameryki, zrobiony został przez Małgorzatę Niezabitowską i Tomasza Tomaszewskiego. Zostali oni zaproszeni w 1986 roku przez „National Geographic” do USA, by tam przygotować materiał do specjalnego wydania, rozpoczynającego 100-lecie tego najbardziej znanego na świecie pisma geograficzno-społecznego. M. Niezabitowska w artykule „Discovering America” („Odkrywanie Ameryki”) stwierdza:

„Tomek i ja znaleźliśmy Amerykę naszych marzeń, kraj naszych ulubionych filmów, książek i piosenek. I teraz »National Geographic« wyznaczył nam zadanie odkrycia rzeczywistej Ameryki”.

Wszystkie przeżycia, ludzie i sytuacje, składające się na prawdziwą Amerykę, zostały utrwalone przez autorów na wspaniałych kolorowych fotografiach. Później mogliśmy to zobaczyć w Lublinie, na wystawie pt. „Poszukiwanie Ameryki”, zorganizowanej przez BWA przy ulicy Narutowicza.

Niejako symbolem wystawy było zdjęcie mężczyzny w słomianym kapeluszu, z twarzą pomalowaną na wzór flagi amerykańskiej — biało-niebiesko-czerwonej. Motyw przywiązania do symboli narodowych przewija się w wielu zdjęciach. Amerykanie traktują je z dużą godnością, ale i luzem. Przy okazji wymieszaniu ulegają bardzo różne tradycje — motyw malowania twarzy jest nieswobodnym (?) nawiązaniem do indiańskiej przeszłości kontynentu.

Amerykanie kochają swą ciekawą, choć krótką tradycję. Na karoserii nowoczesnego autobusu dalekobieżnego namalowano starannie sentymentalny obrazek: dylżanś pędzący nocą po bezdrożach Ameryki. Fotografia zatytułowana „Ostatni gentleman” przedstawia młodego człowieka stojącego na tle salonu pełnego starych fotografii i portretów rodowych. Rzecz dzieje się na południu USA, choć sprawia wrażenie starej, zamierzchłej Europy.

Tradycja czasami miesza się z kiczem: jest jej za mało i trzeba ją tworzyć na użytek masowego odbiorcy. Jedno ze zdjęć przedstawia pięknie ubraną parę młodych ludzi w strojach ślubnych z XIX wieku. Tytuł „Spełniamy wasze marzenia” tłumaczy wszystko: jesteśmy w zakładzie fotograficznym, który specjalizuje się w robieniu zdjęć w różnych strojach z odmiennych epok, w odpowiednio przygotowanej scenografii.

Kultura masowa sięga do tradycji i sama ją tworzy. „60 billion sold” („Sprzedano 60 miliardów”) — tak zatytułowano inny fotogram. Ten zawrotny

rekord konsumpcji dotyczy współczesnej potrawy narodowej: hamburgera. Na fotografii człowiek w kapeluszu kowbojskim stoi przy stole barowym, na którym leżą hamburgery. Kowbojski kapelusze jest także symbolem tradycji historycznej, wzmocnionej bez wątpienia przez filmowo-telewizyjną produkcję westernów.

Amerykanie pragną przestrzeni, rozmachu, czasem cierpią na gigantomanie. Jedno z bardziej charakterystycznych zdjęć pokazuje wrak wielkiego amerykańskiego samochodu na tle panoramy Manhattanu, wyspy-centrum Nowego Jorku. Na innej fotografii — cmentarzysko starych samochodów obok pasącego się stada bydła. Pełne fantastycznych i wynaturzonych kształtów złomowiska przypominają sceny z wyświetlanego niegdyś u nas filmu „Oto Ameryka”.

I jeszcze inny ważny element współczesnej Ameryki — kontrast. W otwartych drzwiach starej, odrapanej przyczepy samochodowej wiszą białe firaneczki z falbankami, czyste i schludne. Mieszkające w niej małżeństwo dorobiło się majątku własną pracą przy hodowli bydła. Co roku jednak ludzie ci odpoczywają w przyczepie, aby przypomnieć sobie czasy, kiedy zaczynali swoją drogę życiową.

Etos pracy i oszczędności, odziedziczony po pierwszych przybyłych tu purytanach, jest nadal żywy w Ameryce. Fotografia „Miałem wspaniałe życie” to zbliżenie twarzy starego człowieka, poronanej zmarszczkami. Pomimo okularów i tandetnego, słomianego kapelusza, postać ta przywołuje na pamięć jeden z obrazów Chełmońskiego; człowiek jest uśmiechnięty i spokojny, malowniczo i prosty. Pod zdjęciem zacytowano jego słowa: „Wiem, kim jestem. Znam swoje miejsce na ziemi, no i lubię je, czyż to mało?”.

Innego robotnika widzimy podczas odpoczynku na ławce, w pobliżu swojej fabryki. Za jego plecami rozpościera się wielkie malowidło XIX-wiecznego miasta, do złudzenia realistycznego. Po ulicy, wśród starych kamieniczek, jeżdżą bryczki, a panie spacerują w długich sukniach. Całość przypomina Londyn sprzed stu lat. Tak robotnicy, w czasie przerwy, odpoczywają w cieniu XIX wieku.

Obok Ameryki pracy i oszczędności, istnieje jeszcze druga Ameryka — zabawy, dziecięcych i spontanicznych rozrywek, dziwactw i szaleństw. Seria fotografii pt. „Najbardziej szalony z szalonych” ukazuje karnawał w Nowym Orleanie. W zabawie uczestniczą zarówno starzy, jak i młodzi ludzie, przebrani za diabły, mężczyźni udający kobiety; ostre makijaże, agresywna metalowa biżuteria, skape skórzane przyodziewki, kobiety lekkich obyczajów, słowem — mieszanka koloru, kiczu i zabawy. Stare babie i młodzi chłopcy — wszyscy na czas karnawału pozbywają się jakichkolwiek zahamowań. Nie ma żadnej konwencji. Zamiast tradycyjnych europejskich kopciuszków, kotów w butach itd., każdy realizuje swoją własną fantazję, dziwactwo, czasem wynaturzenie. Ludzie piszą w ten sposób nową amerykańską bajkę.

LISTY

„Klonowe żniwa”

Nawiązując do artykułu „Klonowe żniwa” („Relacje” 30/89), jako czytelnik i były pszczelarz, któremu na sercu leży dobro naszego

pszczelarstwa, swego czasu usiłowałem u siebie w ogrodzie, a usiłowałem bezskutecznie, zasadzić klon cukrowy — *Acer saccharum* (nie *Acer saccharinum*). Niestety, sadzonek lata całe nie mogłem zdobyć; otrzymane nasiona nie kiełkowały, aż wreszcie pani mgr Kostrzewa z Ogrodu Botanicznego w Lublinie na moje naleganie zdobyła nasiona i rok czy dwa lata temu wyhodowała dla mnie kilka sadzonek.

Ale czas leciał, zestarzałem się, ogród mój ma iść do wywłaszcze-

nia, więc zrezygnowałem z pszczoł, a sadzonek od p. Kostrzewy nie wziąłem, sugerując, by je posadzono w Ogrodzie Botanicznym. Jaki los je spotkał, tego nie wiem, ale wiem, że pszczoły głodują, a pszczelarzowi jak się uda pozyskać 10—15 kg miodu z ula, to uważa to za sukces, a pszczoły mogłyby zrobić dla niego 100 kg, gdyby miały z czego, ale niestety, nie mają bazy pokarmowej, a organizacje kładą nacisk na zabiegi hodowlane, a nie na zapewnienie bazy pokarmowej. W wiosennym soku z nacięć 35—

40-letnich drzew klonu cukrowego (na palec głębokich i długich) przez rurkę można mieć 5 proc. sacharozy i 0,5 proc. jednocukrów w 50—100 litrach w ciągu sezonu. Podobnie opatrnościowym drzewem, ale ze względu na kwiat, jest *Sophora japonica* (znajduje się w Ogrodzie Botanicznym w Lublinie) oraz lekarski serdecznik (*Leonurus cardiaca*), a ostatnio zaszyłam o roślinie Ciza (Akad. Roln. w Lublinie).

Bolesław Koba
Lublin

Świat wokół nas

RUMUNIA jaka jest, wie niejedyn polski turysta. Dzieci wyciągają rękę po cukierka, puste półki sklepowe, kilometrowe kolejki po benzynę, kwitnący czarny rynek. Elektryczność włączana na kilka godzin dziennie, godzinny program radiowy i dwugodzinny telewizyjny. Brak rozrywki, brak jakości i brak uśmiechu. Codzienne życie zmienione w polowanie na podstawowe artykuły niezbędne do egzystencji.

Wydaje się, że świetlana przyszłość, obiecywana narodowi przez prezydenta Ceausescu, oparta na ortodoksyjnym marksizmie i rządach silnej ręki, potrzebuje jeszcze wielu lat, nim ulegnie materializacji. Pozostaje wszakże Rumunia wierna swoistemu ekscentryzmowi wśród krajów wspólnoty socjalistycznej. Dziś jednak jakby na przeciwnym biegunie.

Ceausescu, robotnik fabryczny z chłopskiej rodziny, od 1933 roku członek (wówczas nielegalnej) rumuńskiej partii komunistycznej, stanął na jej czele w 1965 roku. Niedługo stawił się przez Zachód za wzór liberala, krytyk interwencji państw-stron Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 roku, inicjator nawiązania w 1967 roku stosunków dyplomatycznych z Izraelem, interlokutor szerokiej gamy światowych polityków od prezydenta Nixona do papieża Pawła VI, rzecznik obcojęzycznej prasy na rumuńskim rynku — dziś jest konstruktorem totalnej izolacji swojego kraju.

Otoczony rodzinnym klanem — żona Elena (lat 70), wicepremier i członek

światła". Dla udokumentowania stałego tempa rozwoju przywołują oni konkretne liczby. W ciągu ostatnich czterdziestu lat dochód narodowy Rumunii wzrósł czterdzieści razy, produkcja przemysłowa zwiększyła się o sto dwadzieścia dwa razy w stosunku do roku 1938, produkcja rolna sześć razy, ludność kraju wzrosła z dziewiętnastu do dwudziestu trzech milionów obywateli.

Z liczbami tymi kontrastuje jednak fakt, iż oficjalne racje żywności, przyznane każdej rumuńskiej rodzinie, wynoszą pół kilograma cukru i dwa litry oleju do smażenia na miesiąc. Emeryci wstają o godzinie pierwszej w nocy, by na małych stołeczkach zająć miejsce przed sklepami. Wracając po dziesięć godzinach, przynosząc produkty, które im się udało zdobyć. Po południu wyruszają na zakupy młodzie. Noszenie siatki w każdej okolicy stało się powszechnym zwyczajem. Jak podają źródła zachodnie, w ciągu ostatnich dwóch lat około 30 tysięcy uciekinierów opuściło Rumunię, udając się na Węgry, trzy tysiące zbiegło do Jugosławii, Bułgarii i RFN. Ludzi pragnących wyjechać z kraju jest tak wielu, że nie podlegają już oni karze aresztu. W przypadku zatrzymania wymierza im się karę pieniężną w wysokości trzech tysięcy lei (wartość około miesięcznej pensji) i najczęściej próbują szczęścia ponownie.

Rumunia jest krajem bez długu zagranicznego. W latach 70, wzorem innych państw socjalistycznych, zaciągnęła ona na Zachodzie kredyty w wysokości 11 miliardów dolarów. Spożytkowano je na realizację kilku inwestycji przemysłowych, m.in. budowę wielkiego kompleksu petrochemicznego, kilku hut, kilku zakładów przemysłu elektronicznego. Nie doczekawszy się profitów, Ceausescu zmienił w

RUMUNIA - NAKAZ ORTODOKSJI

Wiesław Horabik

Biura Politycznego RPK; brat Ilie, minister obrony narodowej; syn Nicu (lat 39) szef partii w Transylwanii, brat Nicolae Andruta, dyrektor departamentu w ministerstwie spraw wewnętrznych; brat Ion, wiceszef Komitetu Planowania — steruje krajem w sposób niezagrożony, realizując konsekwentnie zaprogramowaną przed kilku laty koncepcję budowy państwa o „nowym obliczu”.

Wzorem wielu krajów trzeciego świata, Rumunia, mimo katastrofalnych niedostatków w sferze konsumpcji, jest jednym wielkim placem budowy. Stary Bukareszt powoli znika z powierzchni ziemi, by dać miejsce nowoczesnym, szerokim estakadom (o jednej z nich mówią Rumuni z dumą, iż jest dokładnie o metr szersza od Champs Elysees), a nade wszystko strzelistym, suto ornamentowanym gmachem publicznym, z których gigantyczny Pałac Ludowy jest największy. Podobny proces ma miejsce na wsi, w ramach tzw. programu systemizacji. Burzy się stare domostwa, a na ich miejsce wznoszone są bloki, które mają zapewnić rolnikom warunki życia zbliżone do miejskich. Rozłamują się wspólnoty rodzinne, rozpada tak cenione niegdyś życie rumuńskiego zaszczepionego, pełnego ciepła i zwykłej ludzkiej życzliwości. Postęp wymaga wszakże ofiar. Przesiedleń ludności dokonuje się według statystycznych założeń, a uroki „urawniłowki” rozciągają się dokładnie na cały kraj.

Nicolae Ceausescu ma wiele imion: nazywa się go Oświeconym, Wielkim Dyrygentem, Geniuszem Karpat, Dumnym Mysli. Jego portrety okupują nie tylko ściany państwowych urzędów, ale również ogromne, wielometrowej wysokości plandze, ustawione na rozstajach dróg i ulic. Książki jego autorstwa stanowią nieodmiennie centralny ornament sklepowych wystaw. Zapytany ostatnio przez jednego z dziennikarzy zachodnich o kult jednostki w odniesieniu do własnej osoby, rumuński prezydent powiedział: „Wszystkie osobistości takiej czy innej partii mogą cieszyć się sympatią i poparciem, jeśli ich działalność identyfikuje się ze sprawą klasy robotniczej, ze sprawą ich ludu. Nie jest to dla mnie. Jeśli jest to kult osobowości, żyję wszystkim słabo rozwiniętym i takimi przywódcami, którzy bynajmniej nie są w stanie zapewnić stały wzrost „przebiegowej swoich narodów”.

Rumuni oficjalnie nazywają okres ten „epoką Ceausescu” — „epoką

1981 roku politykę kredytową i założył, iż całość długu zostanie spłacona do 1990 roku. W istocie dokonano tego już w roku bieżącym, kosztem wyeksportowania dosłownie wszystkiego, co dało się za granicę sprzedać.

Nadwyżki dewizowe, uzyskiwane obecnie, zamierza Rumunia przeznaczyć na realizację czternastoletniego planu wzniesienia pięciuset prefabrykowanych centr rolniczych - przemysłowych w miejsce czternastu tysięcy tradycyjnych wiosek. Ogłoszenie tego planu wywołało zaniepokojenie nie tylko wśród społeczności międzynarodowej, ale przede wszystkim na Węgrzech, gdzie dostrzega się w tej akcji próbę zasymilowania dwumilionowej mniejszości węgierskiej. Zatarg rumuńsko-węgierski przerodził się obecnie w jawną niechęć, manifestowaną m.in. odwołaniem z Budapesztu rumuńskiego ambasadora (na konsultację), zaprezentowaniem w węgierskiej telewizji wywiadu z byłym królem Rumunii Michałem, odwołaniem szeregu wizyt oficjalnych, a nawet wzmocnieniem posterunków granicznych.

Plan modernizacji Rumunii przygotowywany jest z rozmachem. W kraju tym praktycznie rozwiązano problem mieszkaniowy. Cudzoziemcy uważają Bukareszt, mimo panującego tam kurzu i zaniedbania, za miasto o wiele ciekawsze niż, na przykład, Warszawa. Kłopot tylko w tym, że między odległą wizją jasnej przyszłości stoi szara, beznadziejna teraźniejszość.

Prezydent Ceausescu nie prorokuje sukcesu politycznym eksperymentom Polski, Węgier, a nawet gorbaczowskiej „pierestrojki”. Uważa, że tylko wierność podstawowym pryncypiom marksizmu zapewnić może państwu stały, dynamiczny rozwój. W niedawnym wywiadzie dla „Newsweeka” powiedział: „Nie mamy pustych sklepów. Przeciwnie, mamy dobre zapasowanie. Być może, że nastąpiły pewne zaniedbania i nie chcemy wysławiać w sklepach wszystkich towarów, które posiadamy w magazynach. Możecie pójść do jakiegokolwiek sklepu i kupić wszystko, łącznie z wieloma towarami, jakie są w Stanach Zjednoczonych, ponieważ eksportujemy niektóre z nich także do USA”.

Dobrze, że wciąż jeszcze wielu polskich turystów odwiedza Rumunię. Namacalna rzeczywistość zawsze bardziej przemawia do wyobraźni niż najbardziej nawet wiarygodne deklaracje.

STAŁO SIĘ

Dokończenie ze str. 2-3

za, przy tym chirurgicznym zabiegu nie można się bawić w żadne sprawiedliwości społeczne. Ten zabieg, prowadzony bez żadnego znieczulenia, wymagałby kolosalnej dyscypliny społecznej, ale jego plusem byłoby uratowanie obecnego pieniądza, czyli zachowanie przez obywateli nagromadzonych oszczędności pieniężnych.

Wariant drugi to dalsze brnięcie w indeksowaną hiperinflację. Odbywać się ona będzie kosztem unieważnienia oszczędności — to najpierw, a w końcu doprowadzić musi do repudiacji, czyli unieważnienia systemu pieniężnego w ogóle i zastąpienia go nowym. W sytuacji, w której za znaczek pocztowy płacić będziemy parę milionów, może to być zresztą dość łatwe do zaakceptowania.

Jest jeszcze możliwość trzecia, którą — jeżeli poddać by sprawę pod narodowy plebiscyt — społeczeństwo zapewne wybrałoby przygniatającą większość głosów. Jest to rumunizacja, czyli zamrożenie cen i wprowadzenie powszechnej reglamentacji (kupon A-2 jedno jajo na kwartał z możliwością zamiany na 1 metr gumki do majtek).

Przy takim rozwiązaniu (w odróżnieniu od dwóch pozostałych), znika możliwość dokonania jakichkolwiek zmian w systemie gospodarczym. To zaś znaczy dokładnie tyle, że po pewnym czasie — mimo, czy też wskutek, obowiązkowych dostaw — na kupon A-2 dawać się będzie pół nieswieżego jaja na kwartał. Wtedy zaś, gdy już pokrycia kartek zabraknie, trzeba będzie przeprowadzić operację zwaną „urynkowaniem”, i...

Za to jednak ja już odpowiedzialności nie biorę. Ostrzegam.

PS. Dotarły do mnie wstępne statystyki syntetyczne cen za sierpień. Wzrosły średnio o 50 proc. (żywność ok. 100, art. nieżywnościowe ok. 25 proc., alkohol i usługi po ok. 35 proc.). Wzrost cen miesięcznie o 50 proc. powoduje w skali rocznej pomnożenie cen przez 130 (wzrost rządu 13 tysięcy procent). Jeśli by — nie daj Boże — tempo takie rzeczywiście przez następne dwanaście miesięcy miało wystąpić, zapalki w sierpniu przyszłego roku kosztować będą ok. półtora tysiąca, a dolar około półtora miliona złotych.

Michał Zieliński

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 14.09; 16-17.09; 19.09 godz. 19 (scena Lubelskiego Domu Kultury ul. Pstrowskiego 12); „Markiza de Sade” Yukio Mishima; reż. Konrad Lesisz.

15-17.09; 19.09. godz. 16 (scena Reduta); „Poobiednie igraszki” Romy Mahieu.

Teatr Studyjny: 16.09 godz. 19 — premiera; 17-19.09 godz. 19 (sala Teatru Lalki i Aktora): „Dekameron” Giovanni Boccaccia; adaptacja — Waldemar Sulisz; reż. Miro Prohazka.

Teatr Lalki i Aktora: 14-15.09 godz. 10, 12; 17.09 godz. 12: „Ural Batory” baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak.

Teatr Muzyczny: 16-17.09; 19-20.09 godz. 19 (Dom Kultury Kolejarza ul. Kunickiego 35): „Baron cygański” J. Straussa.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filarmonia: 16.09 godz. 18 — koncert z cyklu „Laureaci Konkursów Muzycznych”. Wystąpią: Małgorzata Lisiewicz-Przybył (sopran) Bożena Białecka (fortepian), Kazimierz Olechowski (skrzypce), Janusz Grzelazka (fortepian). W programie: Sonata h-moll na skrzypce i klawesyn J. S. Bacha, III Sonata d-moll op. 108 J. Brahmsa, Polonez A-dur H. Wieniawskiego, Aria Małgorzaty z III aktu opery „Faust” Ch. Gounoda, Aria Violetty z I aktu opery „Traviata” G. Verdiego, pieśni Witolda Friemanna i Karola Szymanowskiego.

19.09 godz. 19 (Katedra Lubelska) — koncert symfoniczny Wielkiej Orkie-

stry Filarmonii Kijowskiej. Orkiestra dyryguje Igor Błażkow. Solistka — Marina Drozdowa (fortepian). W programie: VI Symfonia h-moll „Patetyczna” op. 74 P. Czajkowskiego, Capriccio na fortepian i orkiestrę I. Strawńskiego, Suita z baletu „Blazen” S. Prokofiewa.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa pt. „Wrzesień w literaturze”. **Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34)** — wystawa pastel Ireny Saladonis.

Muzeum na Zamku — wystawa pt. „Rosyjskie ikony końca XVIII — początku XX w.”.

W NAŁĘCZOWIE

Muzeum Ruchu Spółdzielczego w Polsce — I ogólnopolska wystawa poświęcona życiu i działalności Zygmunta Chmielewskiego.

W CHELMIE

Galeria 72 — wystawa międzynarodowej grupy artystycznej „ARBEIT-SKREIS”.

WDK — wystawa ekslibrisów Józefa Tadeusza Czosnyki pt. „Ekslibrisy grafików polskich 1944-1989”.

W ZAMOŚCIU

Galeria BWA — wystawa poplenerowa uczestników V Ogólnopolskiego Pleneru Ilustratorów — Susiec'89 pt. „Ginąca architektura Zamojszczyzny”.

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Janiny Kaczmarczuk.

usługi malarskie

malujemy:

- elewacje, wnętrza
- urządzenia tech.

INFORMACJE i ZGŁOSZENIA

PRACOWNIA TEL 285 14

20247/G


**CZWARTEK
14 WRZEŚNIA
PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Nie czyń drugiemu co tobie nie-miłe” — serial krym. prod. USA
10.15 Domator
16.00 Program dnia. DT — wiadomości
16.05 Polskie źródło: Duszniki Zdrój
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 Poligon
17.55 Sonda: Kodeks kosmosu
18.25 Program public.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn roz-bójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodar-czy
19.30 DT
20.05 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Nie czyń drugiemu, co tobie nie-miłe” — serial krym. prod. USA
20.55 Kroniki PAT: Tak było...
21.10 Pegaz
22.00 Studio sport: Po pucharach
22.10 Program public.
22.45 DT — echa dnia
23.00 Jutro w programie

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Skarby kultury polskiej: Skar-by Ciemnotkiej Madonny (2)
18.00 Program lokalny
18.30 Dzieci dzieciom — program rozrywkowy
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” — odc. 11 pt. „Rośliny drapieżne” — serial przyr. prod. CSRS
20.00 Studio sport: Wielki tenis
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne „Dwójki”: „Hi-istoria Asji Klacznej, która kochała, lecz za mąż nie wyszła” — film fab. prod. ZSRR
23.20-23.25 Komentarz dnia

**PIĄTEK
15 WRZEŚNIA
PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Młczenie doktora Evansa” — film fab. prod. ZSRR
10.40 Domator: Szkoła dla rodziców
16.20 Program dnia. DT — wiadomości
16.25 Dla młodych widzów
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankrace-go
17.15 Teleexpress
17.30 Program dok.
16.00 Szkoła mistrzów: Jan Łomni-cki
18.20 „Wrześniowe Dni Kępy Oksyw-skiej” — film dok. Mariana Duszyń-skiego
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kret
19.10 Monitor rządowy
19.30 DT
20.05 „Serenite” — film TVP
21.05 „Chcę być przyrodnikiem wszy-stkich Polaków” — film dok.
22.20 Kroniki PAT: Tak było...
22.35 Czas — magazyn public.
23.05 DT — echa dnia
23.20 Jutro w programie

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Z czego śmieją się sąsiedzi: „Miłość od pierwszego spojrzenia” i „Ostatni łup” — nowele filmowe prod. CSRS

19.00 Festiwal Polskich Filmów Fa-bularnych
19.30 Dookoła świata: W Egipcie Allacha
20.00 Warszawska Jesień — Inaugu-racja Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej
21.00 „Piątek” — krakowski prze-kładaniec kulturalny (1)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Piątek” (2)
22.20 Filmy Paula Coxa: „Kostas” — prod. australijskiej

**SOBOTA
16 WRZEŚNIA
PROGRAM I**

7.55 Program dnia
8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekre-acyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Arabella” — serial prod. CSRS
10.30 DT — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.20 Bellona — wojskowy magazyn public.
11.50 „Karl Friedrich Schinkel” — film dok. prod. NRD
12.30 Telewizja prowincja
13.00 Telewizyjny Teatr Prozy. Ja-rosław Iwaszkiewicz: „Sława i ohwa-ła” — cz. 2 pt. „Polonia Restituta”
14.30 Do trzech razy sztuka
15.00 Komedia, komedia, komedia, „Walet pikowy” — prod. pol.
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Polityka, politycy — program Andrzeja Bilika
17.15 Teleexpress
17.30 „Ty musisz żyć, aby dać świa-ductwo prawdzie” — film dok.
18.35 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Mini safari we Wrocławiu
19.30 DT
20.05 „Serpico” — film fab. prod. USA. Reż. Sidney Lumet
21.45 Telewizyjny przegląd sportowy
22.45 Napisz proszę... czyli piosenki Haliny Frąckowiak
23.05 Telegazeta
23.10-24.00 Kino sensacji: „Inspektor Taggart”: „Wampir z Glasgow” (3) — film prod. ang.

PROGRAM II

14.00 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie
15.00 5-10-15 — program dla dzie-ci i młodzieży
16.25 Małe kino: „Nuty, moje nuty” — film dok. Jadwigi Jasny-Mazurek
17.00 Echa „Konwoju”
18.00 Telewizyjna Panorama Lubel-ska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Alfa i omega
20.00 Romantyczne interpretacje Rian de Waala — recital pianisty hol-landerskiego
20.55 Ballada o drodze — program poetycko-muzyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateaufallon” (19) — serial prod. franc.
22.35 Bóg i Ojczyzna — rozmowa z Generalnym Dziekanem Wojska Pol-skiego Julianem Humeńskim
23.00-23.05 Komentarz dnia

**NIEDZIELA
17 WRZEŚNIA
PROGRAM I**

8.55 Program dnia
9.00 Teleranek a w nim „Przygody na bezludnej wysepie” (2) — film fab. prod. australijskiej
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi” — odc. 9 pt. „Masajowie” — serial dok. prod. hiszp.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 Teatr dla dzieci. A. A. Milne: „Dawno, dawno temu” — cz. 3 pt. „Trofea wojenne”
13.50 Tupeck, czyli nareszcie w obłokach — program rozrywkowy
14.55 Trzy rundy — widowisko pu-blic.
15.40 „Panna dziedziczka” (18) — serial fab. prod. brazył.
17.15 Teleexpress

17.30 Powiększenie — fotomagazyn
17.50 Gdzie są taśmy z tamtych lat
18.30 Antena
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Ka-czora Donalda
19.30 DT
20.05 „Klan” (3) — serial krym. prod. franc.
21.05 Siedem dni: Świat
21.35 Sportowa niedziela
22.35 Premiery po latach: „Wincenty Witos” — film dok.
23.05 Wyniki Totalizatora Sportowe-go, telegazeta i jutro w programie

PROGRAM II

7.55 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
8.30 „Klan” (3) — serial krym. prod. franc. (dla niesłyszących)
9.30 Nabożeństwo ekumeniczne z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego Sw. Trójcy
10.50 Magazyn lotniczy
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Aktualności kulturalne: Re-quiem Romana Maciejewskiego — pa-mięci ofiar wojny
13.23 „Polacy” — film dok.
14.10 Kino rodzinne: „Niebezpiecz-na zatoka” — odc. 2 pt. „Jad węża” i „Cenna ryba” — serial przyg. prod. kanad.
15.05 Podróż w czasie i przestrzeni: „Badacze nieznanego kultury” (2) — film dok. prod. ang.
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Festiwal Polskich Filmów Fa-bularnych
16.45 Studio sport: Finał tenisowe-go turnieju satelitarnego „Złota polska jesień” w Bytomiu
17.30 Bliżej świata — przegląd tele-wizji satelitarnych
18.45 Rzecznik Praw Obywatelskich, prof. Ewa Łętowska w programie Ireny Frączkowiak
19.30 Galeria 37 milionów: Malar-stwo Hildegardy Fuhrer
20.00 Studio sport: Półka w grze
21.00 „Kolekoja katorżnika” — re-portaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (3) — serial fab. prod. USA
22.55-23.00 Komentarz dnia

**PONIEDZIAŁEK
18 WRZEŚNIA**
PROGRAM I

16.20 Program dnia DT — wiado-mości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Echa stadionów
18.10 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.30 Laboratorium: Coraz głębiej
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci pokażę
19.10 Gorące linie
19.30 DT
20.05 Teatr Telewizyjny: Henryk Ibsen „Ujory”. Reż. Rudolf Ziolo.
21.45 Kroniki PAT: Tak było...
22.00 Obok nas
22.30 Wódka, pozwól żyć...
22.50 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliż-szy tydzień
17.45 Ojczyzna-polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubel-ska
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Zaproszenie do teatru „Syre-na” — „Sprawa Romana K.”
19.30 „Meksyk” — program dok.
20.00 Auto-moto-fan klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Lillian Hellman” — film prod. zachodniemiecko-an-gielskiej
22.35 Komentarz dnia

**WTOREK
19 WRZEŚNIA
PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Oziębłość” cz. 1 — film fab. prod. ang.
10.15 Domator: Rady na życzenie
16.00 Program dnia DT — wiado-mości
16.05 Punkty widzenia
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.30 „Cudowna podróż” — serial anim. prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 „Następny proszę” (9) — „Nie-bezpieczne zajęcia” — serial obycz. prod. ang.
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Westłowe przygody Pika, Kwika i wieloryba Grubaska
19.10 Od A do Z — W jak wódka
19.30 DT
20.05 „Oziębłość” cz. 1 — dramat obycz. prod. ang. Reż. Peter Ham-mond.
20.55 Kroniki PAT: Tak było...
21.10 Pod wrześniowym niebem — wspomnienia lotników
21.35 Fulio — widowisko muzyczne
22.25 Studio Solidarność
23.10 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 „Komedia po polsku” — „Szlaki na zachód osadnicy” — program filmowy
19.30 Blisko nieba — magazyn spor-tów lotniczych
20.00 Non stop kolor
20.55 „W kręgu sztuki” — „Pekiń-skie zakazane miasto” — cz. 2 — film dok. prod. japoń.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Krzyk” — dramat społ. prod. pol. Reż. Barbara Sass-Zdort.
23.15 Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni
23.30 Komentarz dnia

**ŚRODA
20 WRZEŚNIA
PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 Wojna i film: „Virtuti” — film prod. pol.
16.15 Program dnia. DT — wiado-mości
16.20 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Dla młodych widzów: „Jim Henson przedstawia świat teatru lal-kowego”
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Telewizyjny informator wy-dawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj
18.50 10 minut
19.00 Kolorowy świat Pacyka
19.10 W sejmie i senacie
19.30 DT
20.05 Wojna i film: „Virtuti” — film prod. pol. Reż. Jacek Butrymo-wicz. Wyk.: Kazimierz Wysota, Doro-ta Pomykała, Arkadiusz Bazek, Zbi-gniew Buczkowski
21.55 Kroniki PAT: Tak było...
22.10 Raport
22.40 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Krótkowzroczność — reportaż
18.00 Telewizyjna Panorama Lu-belska
18.30 Folies Bergere — program roz-rywkowy
19.30 Pomiędzy kiedyś i teraz: Wie-sław Szamborski — malarz (impresja filmowa)
19.45 Rewelacja miesiaca: Michał Barysznikow i American Ballet The-atre w balecie: „Don Kichot” Minkusa — komentuje Bogusław Kaczyński
21.30 Panorama dnia
21.55 „W labiryncie” — serial TVP
22.25 Telewizja nocą
23.10 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czernińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-020 Lublin. Telefony: 215-97 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-24 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicy-styki), 202-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1351. 4.09.1989 r. B-7.

MAMY siódmego — chronologicznie, genealogicznie, ontologicznie i ortodoksyjnie — Pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Mieczysława Rakowskiego — po Bierucie, Ochabie, Gomułce, Gierku, Kani i Jaruzelskim. Identyczną liczbę Siedmiu Pierwszych zaliczyła Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego — po Leninie, Stalinie, Chruszczowie, Breżniewie, dwóch następnych, których nazwisk już nikt nie pamięta, mamy wreszcie Gorbaczowa jako Siódmego.

I tu, i tam po siedmiu. Obie liczby nieparzyste, trochę magiczne, coś z kabały i okultyzmu, ale w potoku dziejów ani narody, ani jednostki nie mogą przeskoczyć tych paru liczb, uznawanych za feralne, nieokrągłe, zabobonne, mściwe, złośliwe. Naród nie może uniknąć siódmego miłościwie mu panującego księcia czy króla, potem siódmego sekretarza, na koniec siódmego prezydenta.

Człowiek w swoim życiu nie uniknie siódmego roku życia, siódmej klasy, siódmego i niewątpliwie kryzysowego roku małżeństwa, siódmego roku pracy zawodowej, siódmej grupy zaszerogowania w siatce płac, siódmego miejsca na liście uprawnionych do wsiadania do autobusu itd., itp. Kiedy to już szczęśliwie, a kiedy nie — przeskoczy, zacznie się identyczna parada trzynastek, a wiadomo, że trzynastka to nieszczęście niemal gwarantowane; przed wojną w Warszawie nie było tramwaju numer trzynastka, choć

znam szczęśliwców, którzy uwielbiają trzynastki, a do tego jeszcze w piątek.

I tu, i tam po siedmiu, ale pamiętać trzeba, że tam siedmiu rządziło w sumie przez siedemdziesiąt lat, a u nas trzeba było aż siedmiu, żeby wystarczyć na przetrwanie ledwo czterdziestu lat, co stanowi oczywiście po-

SIÓDMY

Henryk Pająk

twierdzenie faktu, że tam rządzi się przeciętnie dłużej, a zatem i bezpieczniej, stabilniej, w większości dożywnio. Nieporównywanie mniej kapryśni — niż Polacy — w wyborach swoich przywódców pozostają na przykład Bułgarzy, Węgrzy czy Rumunii, ledwo tam przypada po trzech czy czterech sterników na całe czterdziestolecie — rekordy bliskie Paragwajowi, ale to porównanie jest niezreczne, bo jak porównywać demokracje ludowe z ciemnymi dyktaturami.

Podobną niezrecznością byłoby doszukiwanie się paralel ze słynnym westernem „Siedmiu wspaniałych”, choć tu i tam znów zagrała magia siódemki, tu i tam każdy z siódemki sta-

nowił pewną indywidualność, każdy był wart w swoim fachu i rolach całego tłumy ludzi przeciętnych, rzemieślników w swoim zawodzie, a nie artystów-profesjonalistów.

Jak było, to było przez te lat czterdzieści, ale przynajmniej jednego nikt nam zarzucić nie może, a to — królobójstwa, czy raczej sekretarzobójstwa,

przewrotów pałacowych, banicji, czy nawet przenoszenia po śmierci z jednego miejsca spoczynku na inne, gorsze, mniej reprezentacyjne. Co prawda mamy pretensję do tego czy owego, pierwszemu z Pierwszych ostatnio nawet odmawiają spizów, rozbierają pomniki, zrzucają szyldy, ale to przecież normalny proces w dialektyce dziejów narodu, epoki czy systemu.

My, Polacy, jesteśmy jednak łagodni; gdy nas przycisną, to wydajemy pomruki niezadowolenia, ale daleko nam do przewrotności dawnych Rosjan, którzy rzadko któremu carowi pozwalali umrzeć dobrowolnie, we własnym łóżku. Prawie nigdy nie sięgaliśmy po sztylety, trucizny, bomby z opóźnio-

nym zapłonem, choć podobno na Biuruta zamierzył się jakiś desperat z obsługi Belwederu, ale inni w porę podziurawili go kulami. Rzecz zresztą niejasna, plotkarska, wyjaśni się wkrótce (może?).

Teraz znów rozpoczęło się odliczanie prezydentów i nietrudno zauważyć, że pod tym względem bijemy Rosjan na głowę; oni w swoich dziejach nie mieli ani jednego prezydenta, podczas gdy my mieliśmy już dawno i mamy znowu, choć po dłuższej przerwie, a jednego to nawet zdążyliśmy zastrzelić na wystawie obrazów w warszawskiej Zachęcie, jedyną zresztą przykładem godnego pożałowania prezydentobójstwa, ale Narutowicz sam sobie był trochę winien, po co brał tę fuchę mimo pogroźek, a ponadto ktoś taki jak prezydent nie ogląda obrazów bez goryla za plecami.

Zaraz po awansie premiera Rakowskiego na Pierwszego mój ulubiony serek waniliowy zdrożał dwukrotnie, co zapewne trochę zniechęci byłego premiera do zwiedzania wystaw malarstwa, ale z pewnością nie spowoduje abdykacji z nowej misji, co także nie jest specjalnością polskiego czterdziestolecia, a z faktu, że ja za swój felieton, po ostatniej karuzeli awansów i degradacji na najwyższych szczeblach, nie będę w stanie kupić nawet pół litra, by urządzić się z radością, że mamy oto już Siódmego Pierwszego — nie wynika nic, dosłownie nic, bo ja w ogóle nie bywam na wernisażach w warszawskiej Zachęcie.



Rys. Zygmunt Pytlík

LEŻĄC I OBGRYZAJĄC

LEŻĄCEGO się nie kopie. Szczególnie, jeżeli jest głupkiem prasowym. Wśród szerokiego diapazonu głupków powszechnych jest to dosyć dokuczliwy gatunek głupka, który myśli wątroba, a mózgiem wydziela nieczystości (stopień rozwoju umysłowego — około 1,5 eugleny zielonej). Ale się jego nie kopie, ponieważ Pan Bóg już go wystarczająco

pokarał, odbierając mu rozum w kołysce.

Jednak co robić, jeżeli leżący głupiek prasowy obgryza ci nogawki? Otóż ostatnio jestem zwolennikiem, poglądu, że w takich przypadkach nie należy czegokolwiek robić. Tylko olać. Niech ci obgryza i obślinia nogawki. Wystarczy mieć w zapasie kilka par starych spodni.

Maciej Podgórski

PRZYPowieść o GMACHACH

POSTANOWIONO wybudować gmach. Wielki, potężny, na miarę ambicji jego budowniczych. Wsparto go na mocnych, solidnych filarach, gwarantujących trwałość budowli. Postanowiono także, iż gmach ów ma być nie tylko mocny i trwały, lecz również piękny. Zadbano tedy o elementy dekoracyjne, wkomponowując je tak zmyślnie, że budowla sprawiała wrażenie monolitu.

Gmach stał przez lata.

Budowniczo — upojeni sukcesem — nie zauważyli, iż tuż obok po-

częła wyrastać druga budowla. Budowana bez fanfar, po cichu. I stał gmach drugi. Równie mocny i trwały, lecz mniej ozdobny. Jego twórcy tedy postanowili także go upiększyć. I stało się, iż przeniesiono dekoracje z jednego do drugiego gmachu.

Stoją tedy dwa gmachy. Niezbyt nawet daleko od siebie. Rozlegają się głosy, że warto by było połączyć je jakimś krążankiem. Lecz być może gdzieś obok, ktoś trzeci stawia kolejny gmach. I także myśli o tym, jaką przybrać go dekoracją...

(kow)

Patrzanie pod kątem

ZAPANOWAŁA euforia. Polscy pływacy, którzy do niedawna jeszcze mieli duże problemy z dopływaniem do brzegu basenu, zaczęli zdobywać medale na najważniejszych imprezach międzynarodowych. Trzej wspaniali — Artur Wojdat, Mariusz Podkościelny i Rafał Szukała — udowodnili, iż wpuśczeni do wody Polacy niekoniecznie muszą od razu iść na dno, lecz potrafią szybciej niż inni dopłynąć do brzegu.

Jak powszechnie wiadomo, trzej nasi medalisci studiują i trenują w Stanach Zjednoczonych. Fakt ów natchnął był jednego — mniejsza o nazwisko — z dziennikarskiej redakcji sportowej Telewizji Polskiej do wy-

zresztą powszechnie praktykowana, a kogo nie wyśle PZPN, ten — jak Marek Leśniak czy Andrzej Rudy — wysła sam siebie. Hokeistów należy oczywiście wysłać do Związku Radzieckiego. Co prawda są oni zdecydowanie za słabi na to, ażeby zagrać w tamtejszych drużynach, ale zawsze mogą choć popatrzeć, jak trzeba zachowywać się na lodzie. Drugodystansowców przemalowaliśmy na czarno i do Kenii. Narciarzy-alpejczyków — rzecz jasna w Alpy. Specjalistów od kombinacji norweskich — oczywiście do Norwegii. Propozycje można mnożyć.

Koncepcja taka zapewne spodoba się wielu takim zwanym działaczom sportowym. Albowiem owo wysyłanie byłoby o wiele prostsze, aniżeli praca z młodzieżą w kraju, budowanie obiektów treningowych, troska o sprzęt itp. A przy okazji — co też jest nie bez znaczenia — zawsze można liczyć na jakiś atrakcyjny wyjazd.

PO NAUKĘ

Andrzej Z. Kowalczyk

stąpienia z projektem, ażeby więcej polskich sportowców wysłać do Ameryki, albowiem może to zaowocować medalami na wielkich imprezach sportowych. Pozornie projekt ów jest zupełnie sensowny, a wyniki naszych pływaków trenujących w USA potwierdzają jego zasadność. A są i inne przykłady, z których najlepszym jest żużel. Od wielu lat wszyscy liczący się w świecie żużlowcy startują w klubach ligi brytyjskiej. W latach sześćdziesiątych, i siedemdziesiątych startowali tam także Polacy i wyniki były. Były medale — także złote — na mistrzostwach świata. Później polscy żużlowcy przestali jeździć w British League i utracili kontakt ze światową czołówką. Jak wyglądają ich wyniki, mogliśmy się ostatnio przekonać, choćby podczas finału Mistrzostw Świata Par w Lesznie, gdzie nasi zajęli ostatnie miejsce, przegrywając nawet z Węgrami i Włochami, którzy przecież do żużlowych gigantów nigdy się nie zaliczali i nie zaliczają.

Tak tedy projekt wysyłania polskich sportowców za granicę jawi się jako wysoce racjonalny. Można zresztą twierdzić co rozwiąć. Można oto wziąć zszynkę na przykład „Przeglądu Sportowego” i — prześledziwszy wyniki najważniejszych imprez sportowych — rozpocząć rozsyłanie. Piłkarzy można albo grupowo wysłać do kraju mistrzów świata — Argentyny, albo porozysłać po wszystkich europejskich ligach. Ta druga koncepcja jest już

Z tego, co dotychczas napisałem, czytelnik mógłby wysnuć wniosek, iż jestem przeciwnikiem wyjazdów zagranicznych. Otóż nie. Uważam, że polscy sportowcy powinni mieć ze światową czołówką kontakty tak częste, jak to tylko możliwe. Co jednak nie znaczy, iż tacy na przykład badmintoniści powinni przez cały rok trenować w Indonezji tylko dlatego, że sport, ten stoi, tam na wysokim poziomie. O tym, że można mistrzów przygotowywać w kraju, świadczyły wyniki osiągane choćby przez sportowców NRD.

Uważam natomiast, że wyjazd zagraniczny w celach szkoleniowych niezbędny jest komu innemu. Mianowicie redakcji sportowej Telewizji Polskiej in gremio. Być może podczas takiego wyjazdu — niekoniecznie nawet do USA — jej pracownicy przekonają się, że są jeszcze inne dyscypliny sportowe poza ich ukochanym łyżwiarstwem figurowym, które znakomicie nadają się do pokazywania w telewizji. Być może redaktor Miłkołajczyk et consortes skonstatowałiby — zapewne nie bez pewnego zaskoczenia — że są kraje, w których telewizja przeprowadza transmisje z ligowych rozgrywek gier zespołowych, pokazuje boks, zapasy czy lekkoatletykę. Podróże kształcą, więc może warto wysupłać trochę dewiz i zorganizować taką wycieczkę. Choć, z drugiej strony, mawia się także, iż podróże kształcą tylko wykształconych.

W NUMERZE 36. OPUBLIKUJEMY:

● UNICJ PODLASCY ● „NA LITWIE NIE MA POLAKÓW!” ● TAKSÓWKARZ Z MOSKWY ● NA SYBERIE I Z POWROTEM ● DEMOKRACI W ROLI STATYSTÓW ● CO NAS CZEKA? ● LAMPA ALADYNA ● PRESTO — PO AMERYKAŃSKU